

PISMO ILLUSTROWANE DLA RODZIN.

№ 23. Warszawa, dnia 28 Maja (9 Czerwca) 1876 roku. Rok 12.

CENA PRENUMERATY:

w Warszawie z odn. do domu		na prowincyi w Cesarstw. i Królestwie.	
rocznie	rs. 6 k. —	rocznie	rs. 8 k. —
półrocznie	„ 3 „ —	półrocznie	„ 4 „ —
kwartalnie	„ 1 „ 50	kwartalnie	„ 2 „ —
miesięcznie	„ — „ 50		

w Krakowie rocznie z stemplem dziennikar. Złr. 10. w Galicyi Złr. 11 cent 50. — w Prusach roczn. 24 marek.

OPIEKUN DOMOWY wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYA, SKŁAD GŁÓWNY i EKSPEDYCYA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT Nr. 72 NOWY.

Skład główny: w Poznaniu w Księgarni *Leitgebera i Spółki;* we Lwowie w *Księgarni Polskiej*, ulica Kopernika Nr. 12; w Krakowie w Księgarni *Gebethnera i Spółki;* w Wilnie u *J. Zawadzkiego.*

NUMER POJEDYNCZY KOP. 15

NASZE DOLEGLIWOŚCI.

URYWEK SPOŁECZNO-MORALNY

z pism angielskiego moralisty.

Czy się nie zdarza niekiedy tym z pomiędzy nas którzy przestali już być młodymi, którzy czują że ich skomplikowana machina psuć się zaczyna, podczas gdy duch w niej przebywający zachowuje jeszcze całą świeżość i siłę, zastanowić się nad tem jak słaby w ogóle jest stan zdrowia obecnego pokolenia? jak rzadko pośród przyjaciół i znajomych napotkać możemy zupełnie zdrową osobę, to jest choć taką którejby siły fizyczne pozwalały zajmować się czynnie codziennemi obowiązkami swego powołania, czy jakąkolwiek pracą, bez narzekania, bez uciekania się do lekarskich lub higienicznych środków dla wzmocnienia wycieńczonych sił.

Prędzej niżeli dosięgniemy pierwszej połowy stulecia, już widzimy rówienników naszych, a często nawet późniejszych przybyszów na arenę życia, ustępujących z niej po kolei lub starzejących się przedwcześnie, i zmuszonych czynny żywot zamienić na biernie wegetujący. Iluż to z pomiędzy nas, którzy wczoraj jeszcze zdawali się mieć przed sobą całe wieki pracy i młodości, dziś gotowi są smętnie powtórzyć wiersz angielskiego poety Kingsleya, przedwcześnie także zmarłego:

> Mężczyzna pracować, kobieta płakać musi.
> A im prędzej ustaną, tem prędzej i zasną.

Nie wszyscy nawet mają siłę do pracy, zaledwie płakać potrafią, a najchętniej w bezsilnem milczeniu oczekują tego snu śmiertelnego, w którym widzą tak upragniony spoczynek.

Dla czego to? Dla czego w epoce chlubiącej się wysoką cywilizacyą, która wydaje stosy ksiąg lekarskich i słucha prelekcyj hygieniczno-sanitarnych, tak sławione zdrowie naszych praojców jest rzeczą prawie nieznaną? Może nie żyjemy krócej od nich, ale jakież to życie? Czy używamy w całej pełni zdrowej duszy w zdrowem ciele, na chwałę Bożą i pożytek ludzi? czy jesteśmy w każdej chwili gotowi do pracy i do zabawy? czy jesteśmy podobni do owych dobrych drzew do końca dających smaczny owoc i cień ożywczy? Czyli nie raczej przeżywszy pierwszą młodość, a często pierwej jeszcze, już zaczynamy słabnąć i więdnąć, stękać nad każdą pracą, nużyć się zabawą, przykrzeć się samym sobie, a co gorsza, dręczyć rodzinę i przyjaciół, naszemi dolegliwościami?" Nie rzeczywistą chorobą, mówię, ale dolegliwościami; drobnemi cierpieniami wszelkiego rodzaju, i ogólną nieudolnością do spełniania obowiązków życia, która w zupełności niweczy pomyślne jego normalne warunki, a mianowicie możność niezajmowania się zgoła samym sobą.

Kiedy człowiek przyzwyczai się rozmyślać ciągle o swych grzechach, bądźmy pewni że ma wiele grzechów do rozpamiętywania; podobnie kiedy kto bezustanie jest zajęty troską o swe zdrowie, ten wkrótce będzie, albo już jest prawdziwie chorym. Tak jak rzeczywiście dobrzy ludzie są dobrymi nie wiedząc nawet o tem, tak samo zdrowi ludzie nie myślą nigdy o swem zdrowiu.

Ale błogi stan dziecinnej pod tym względem bezwiedności, jest dziś rzeczą tak rzadką, że „sprawa naszych dolegliwości" zasługuje na bliższe rozpatrzenie.

Nie ulega wątpliwości że moralne usposobienie człowieka, w wielkiej części zależy od materyalnego jego otoczenia. Dyogenes nie byłby został cynikiem, gdyby nie był mieszkał w beczce; a najwykwintniejszy w świecie człowiek, gdyby był zmuszony przepędzać życie w chlewie, możeby w końcu przyjął obyczaje mieszkańców jego.

Z tej zasady wychodząc, powinniśmy się starać aby cielesne mieszkanie w którem duch nasz przebywa w tem życiu, było pielęgnowane tak starannie jak tylko okoliczności na to pozwalają, troskliwie strzeżone, ozdabiane, i uczynione tak wygodnem siedliskiem, żeby w niem swobodnie się mógł poruszać nieśmiertelny jego mieszkaniec.

Prawdą jest, aż nadto udowodnioną, niestety! że w wielu razach chwalebne te usiłowania udaremnione bywają dziedziczną słabością, pokutą dzieci za grzechy ojców—jak również własnemi błędami w nieświadomości

popełnionemi, lub też nieuniknionemi okolicznościami losowemi. Nie możemy przez troskliwość o swoję osobę poświęcać naszych obowiązków względem drugich. Zawsze jednak znaleźć można pośrednią drogę, i niewątpliwie często sami sobie tworzymy trudności i samochcąc zwiększamy ciężar swego losu przez brak pewnego poszanowania dla własnego ciała, tego wiernego sługi, który wiele pracować dla nas musi, zaczem się z nim rozstaniemy.

Zwykle za wiele od niego z początku wymagamy. Cieszymy się młodością, doświadczamy siły; nadużywamy jednej i drugiej, marnujemy je lekkomyślnie jak gdyby były niewyczerpane. Na tysiączne sposoby rozpraszamy siły żywotne, nie pamiętając o tem że mamy ich tylko pewną miarę wydzieloną aż do śmierci, i że z każdego atomu zmarnowanego bezmyślnie zdrowia, natura—to jest Bóg, z pewnością od nas kiedyś rachunku zażąda.

Nie zupełnie jednak nasza w tem wina. Sądzę że wielu ze słabowitych mężczyzn i delikatnych kobiet tegoczesnych, zawdzięcza swoje niedołęztwo nieznajomości praw sanitarnych rodziców, z przed jakich czterdziestu lub pięćdziesięciu lat. Dziś znowu weszło w modę karmienie drobnych dzieci samem mięsem, pojenie ich winem, porterem, nawet wódką, kiedy dla tych żołądeczków najwłaściwszym pokarmem jest mleko i chleb, a broń Boże podniecające napoje. To co w danym razie służyć może za lekarstwo, staje się powolną trucizną używane codziennie. Przyzwyczajać dziecię, lub młodzieniaszka do mocnych trunków, jest to stwarzać mu potrzebę szkodliwszą dla niego od chwilowego a wątpliwego pożytku, jaki mu ich używanie przynieść może.

Wiele dzieci ma instynktowy wstręt do alkoholu pod jakąkolwiek podanego postacią; czasem znowu ciągnie ich do niego najnieszczęśliwsza ze wszystkich skłonność dziedziczna. Każdy kto zna silną czystość organizmu który po kilku wstrzemięźliwych pokoleniach odziedziczył bezwarunkową obojętność dla mocnych napojów, nie przeceni zapewne wielkości dobrodziejstwa jakiem jest dla dziecięcia, zarówno męzkiej czy żeńskiej płci, wpojenie w niego od najmłodszych lat tego przekonania że wino, piwo i wszystkie spirytualia są tylko lekarstwami a nie napojami; że jedynym środkiem na zaspokojenie pragnienia, tak dla mężczyzny, kobiety, jak dziecka, jest woda i nic jak woda. Kto tylko utrzymuje że „wody pić nie może,“ ten albo ulega złym przyzwyczajeniom z młodości powziętym, albo już ma coś zepsutego w organizmie, i niebawem zacznie doświadczać różnych „dolegliwości.“

Wiele napisaćby można o niedorzeczności, prawdziwem szaleństwie tych rodziców, którzy podrastającym chłopcom pozwalają pić piwo za napój, a delikatnym, nad miarę naukami obarczonym dziewczątkom, dają codziennie po szklance wina. Niechby każda matka pamiętała wychowując syna o żonie Manuela, i nie dawała sobie wmówić żeby wzmacniające trunki miały być potrzebne nawet matce-karmicielce; a chociaż nie każda wychoduje Samsona, każdą jednak, która w prostocie i wstrzemięźliwości dziatki chować będzie, błogosławić będą następne pakolenia.

Kto nie pija nigdy wina ani żadnych rozpalających napojów, nietylko że wolnym jest od wszelkiej pod tym względem pokusy, i wielu moralnych upadków tym sposobem unika, ale nadto ma zawsze na swoje zawołanie skuteczny wzmacniający środek, w razie kiedy przypadkowa choroba lub wiek podeszły sztuczne podniecenie sił uczyni dlań potrzebnem. Młodym zaś i zdrowym tę radę daję. Nie używajcie mocnych napojów, dopóki tylko możecie się bez nich obejść, tak jak nie używacie kija za podporę dopóki wam służą zdrowe nogi do chodzenia. Jeżeli lubicie wino, mówcie otwarcie że je pijecie dla tego że wam to przyjemność sprawia, że dogadzacie podniebieniu kosztem swego zdrowia; ale się sami nie łudźcie, i drugim się łudzić nie dawajcie jakoby tęgie napoje były potrzebą bardziej konieczną niż ortopedyczne instrumenta, lub silne lekarskie trucizny, lub inne podobne środki, które sztuka i natura przyspasabiają dla podtrzymywania naszych sił upadających.

Owóż, oddalanie o ile możności tego upadku, utrzymywanie do ostatka fizycznej i umysłowej dzielności, która jest wielkiem dobrodziejstwem, nie tylko dla nas samych, ale i dla blizkich naszych, jest to cześć świadczona ciału, której bynajmniej nie uważam za pogańskie uczucie. Tak jest; obowiązkiem jest naszym mieć cześć i poszanowanie dla cielesnego mieszkania duszy, będącej cząstką bóstwa nieśmiertelnego, strzegąc się wszelako wygodnej greckiej filozofii, która ciało uważała jako jedynie uwagi godne.

Przeciwnie, jeżeli mamy być koniecznie albo Sybarytami albo Spartanami, bądźmy lepiej Spartanami. Twarde i surowe wychowanie naszych przodków, mniej było może szkodliwem od teraźniejszego systemu przesadzonej troskliwości połączonej z lekceważeniem. Jeżeli oni za mało się dziećmi zajmowali, my dzisiaj zbyt wiele poświęcamy młodszemu pokoleniu, udręczając poniekąd dziatwę zbytniemi staraniami. Rodzice nie chcą tego zrozumieć że dla dziecka zdrowiej biegać po dworzu na każdą pogodę, aniżeli siedzieć w zamkniętym i najczęściej źle przewietrzanym pokoju. Ci sami ludzie którzy oburzyliby się na samą myśl puszczenia dzieci boso, prowadzą dziewczynki w muślinowych sukienkach bez rękawów, z odkrytą szyją i ramionami, chłopczyków w aksamitnych tuniczkach które im kolan nie osłaniają, na dziecinne baliki, gdzie te młodociane istotki są koniecznie narażone na zaziębienie, będące nieraz powodem śmierci dla nierozwiniętego organizmu, i na jedzenie pokarmów będących bezwarunkową trucizną dla ich delikatnych żołądków. Tam pozostają w rozgrzanej atmosferze do późnej godziny, usypiając ze znurzenia, lub w gorączkowem podnieceniu, poczem się udają na spoczynek. Nazajutrz rodzice dziwią się że mały Lucio kaprysi, albo że Mania mizernie wygląda i nie ma apetytu, albo że Michaś i Zosia nieuważni są przy lekcyi. Jakżeby mogło być inaczej? Zdrowa i stosowna zabawa potrzebna jest dla każdego wieku; a towarzystwo rówienników niezbędnem dla dzieci; ale to niedorzeczne naśladowanie modnych zebrań dorosłych osób, najzupełniej pod każdym względem szkodliwe dla dzieci, powinno być stanowczo zaniechane przez rozsądnych rodziców. Każdy kto urządza lub uczęszcza na tak zwane *kinderbale* tego rodzaju, staje się winnym czegóś gorszego od rzezi niewiniątek, powolnego ich trucia, gdyż takie zabawy często powtarzane, sprowadzają zarody wielu późniejszych dolegliwości, które podkopują życie w samym jego rdzeniu, i zatruwają wszystkie jego rozkosze.

Jeżeli zaś rodzice nasi często grzeszą względem nas w naszem dzieciństwie, jakże często my sami grzeszymy względem siebie w młodości—tej nieopatrznej młodości, która sądzi się wiecznie trwałą i puszcza wodze wszystkim swoim zachciankom bez względu na to czy przez to nie skraca trwania swej potęgi! Jak próżnem i niewdzięcznem jest zadaniem przedstawiać młodej dziewczynie że wcale sobie nie zaszkodzi jeżeli wyjdzie, choćby w mróz lub słotę, ubrana w ciepłą szubkę lub nieprzemakalny płaszczyk, obszerny kaptur-rek i grube buciki; przeciwnie że ta przechadzka zdrowy rumieniec sprowadzi na jej lica i umysł orzeźwi—podczas gdy czystem szaleństwem jest wygrzewać się przy piecu w ciepłem wełnianem odzieniu, a potem w gazach i muślinach pójść na bal, tańczyć do upadłego, a następnie chłodzić spotniałe i rozpalone ciało przy otwartem oknie lub w zimnej sieni. Ale ty, biedna matko lub ciotko, napróżno powtarzać to będziesz: ona ci nie uwierzy. To *lubi*, a tamtego *nie lubi*, to więc robi, a tamtego nie robi.

Młodzież płci męzkiej także nieopatrznie postępuje: sieje ciernie na drodze życia swego i zbiera je w przyszłości. Nie mówię tu już o wyjątkowych razach szalonych wybryków, które prędką i niechybną karę za sobą pociągają, ale o powszednich grzeszkach, o pomniejszych nadużyciach... Ten i ów młody człowiek tańczy do rana po kilka razy w tygodniu, wiedząc że codzień musi być w biurze lub w kantorze o dziewiątej—i nie spóźnia się, będąc uczciwym chłopcem i pragnąc się pokierować w świecie. Ale nie myśli o tem że to czyni ze szkodą własnego zdrowia, sił, a zatem z ujmą własnego życia, i nieraz ze szkodą swoich zwierzchników, przy najlepszych bowiem chęciach, nie jest w stanie z należytą gorliwością zająć się obowiązkami swemi. Ale i on także robi tak jak *lubi*, i wmawia w siebie że tak jest najlepiej, a żadne w świecie przedstawienia przekonać go nie zdołają że się myli.

Nie dadzą się także przekonać owi inni grzesznicy—których grzechy częstokroć do cnót podobnemi bywają — uczeni którzy się zabijają nadmiarem pracy; — ludzie ambitni którzy poświęcają wszystko dla szalonej żądzy wyniesienia się, lub dla zostania, nie lepszymi, nie mędrszymi, ale tylko bogatszymi od swych sąsiadów.

Pracować dla miłości pracy umiarkowanie, rozumnie, tak aby do najdalszego przez naturę naznaczonego terminu zachować zdolność do niej—ten najszlachetniejszy cel do jakiego dążyć powinien człowiek, bywa częstokroć zaniechany dla dogodzenia nizkiej żądzy wywyższenia się nad drugich. Tak, nie jeden

ojciec rodziny który zarobił, lub zarabia dosyć aby żyć dostatnio, i dzieci dobrze wychować, o tyle, żeby mogły także pracą swoją dorabiać się bytu, męczy się i wysila, podniecany jeszcze przez żonę, dla przekazania im dostatku przez się pozyskanego. Wprawdzie tu głównym może działaczem jest miłość ojcowska, ale w każdym razie źle zrozumiana. Dla dzieci daleko lepiej żeby same sobie na chleb zarobiły, tak jak ich ojciec. A tenże ojciec, zebrawszy nakoniec summę trzydziestu, czterdziestu, pięćdziesięciu, i więcej tysięcy, które kolejno uważał za niezbędnie potrzebne do swego szczęścia, widzi że ten majątek podobnym jest do owego motyla złapanego w czapkę jego najmłodszego syna: cały powab jego zniknął. Znękany nadmiarem pracy, ani sam niczego już użyć nie może, ani drugim użyć nie da. Nudzi się. Drażliwość spowodowana zbytniem wysileniem umysłu i ciała czyni go, nie rozkoszą, ale ciężarem rodziny. „Dolegliwości“ o których teraz ma czas myśleć, dręczą go na każdym kroku nakształt widm złowrogich. Piękny dom, wiejski spoczynek lub miejskie przyjemności, liczni przyjaciele, nawet kwitnące grono rodzinne, nie cieszą go ani zajmują. Palił świecę z dwóch końców, spaliła się więc przedwcześnie.

Jestże ten obraz przesadzonym? Nie jestże wiernem przedstawieniem, nie jednego, ale całych setek dorobkowych bogaczy naszego „wieku złotego?“ Stary król z bajki, który zamieniał w złoto wszystko czego się dotknął, nie był nędzniejszym od niejednego z naszych milionerów.

Bo na co się przydadzą pieniądze? Na to, aby ich używać; aby mieć za nie pewien stopień materyalnego komfortu, do ktorego biedne nasze ciało chętnie wzdycha starzejąc się, oraz możność używania w równej mierze umysłowych przyjemności, których pieniądze dostarczyć mogą. Więcej nic człowiek dla siebie osobiście posiąść nie może. „Bezczynność jest występkiem, ale nadmiar pracy, spełnianej w jedynym celu zbogacenia się, jest prawdziwą zbrodnią. I mężczyzni którzy się jej dopuszczają, i kobiety które ich do niej zachęcają, zasługują na wszystkie nędze jakie się kryją pod ich zewnętrznym blaskiem. Do nich zaliczyć trzeba niestrawności po wielkich obiadach, nudy ceremonjalnych przyjęć, kłopoty ze służbą, współzawodnictwa sąsiadów. Patrząc na tych wybrańców losu, jak skrzywieni rozpierają się w paradnych karetach, lub jak po rozejściu się towarzystwa, znika z ich twarzy przymuszony uśmiech, ustępując miejsca wyrazowi przykrego znużenia, a i gość i gospodarz z głębi serca odetchnąwszy, mówią każdy ze swej strony: „chwałaż Bogu że już się skończyło!“ widząc to wszystko, mówię, czyliż nie przyjdzie na myśl spokojnemu spostrzegaczowi, że te wspaniałości zbyt drogo się opłacają? *Le jeune vaut pas la chandelle*, *) jak mówią Francuzi.

Tyle o tym biednym, nędznym świecie, czyli raczej o niedołęztwie zamieszkujących go ludzi. Bo świat ten jest dobrym, szczęśliwym światem. Bóg uczynił go szczęśliwym. Ludzie tylko czynią go nędznym. Za połowę—może nawet za trzy części tych „dolegliwości“ które nas tak udręczają— natura nie jest odpowiedzialną. Natura jest dobrą i rozumną matką dla tych którzy w prostocie ducha praw jej słuchają. Któż zaprzeczy naprzykład że większa część tych chorób które nas trapią corocznie, z naszej jedynie winy pochodzą?

Ciekawymi pożytecznym byłby spis statystyczny, ile mianowicie chorób sprowadzamy na siebie przez zaniedbanie najprostszych praw sanitarnych, których nigdy bezkarnie gwałcić nie można. Ludzie naukowi, których jedna połowa utrzymuje że natura jest łaskawą, a druga że jest stanowczo okrutną, zdaję się mylić zarówno. Ona nie jest ani łaskawą ani okrutną, jest tylko sprawiedliwą. Ona czy też za jej pośrednictwem wyższa potęga, ustanawia prawa, które o ile sądzić możemy, sa prawami ogólne dobro na na celu mającemi, wszyscy bez wyjątku praw tych słuchać muszą inaczej wszyscy cierpią, i ani Bóg ani natura cierpieniom tym zapobiedz nie mogą.

Bywają także choroby wypadkowe. Te przychodzą na nas jak to mówią „z dopuszczenia Bożego,“ bez żadnego powodu; to jest z powodów niewiadomych nam lub zbyt odległych abyśmy mogli je dojrzeć lub się ich ustrzedz, lecz będących także niewątpliwie skutkiem zgwałcenia praw natury. W takim razie możemy tylko starać się poznać te prawa, aby się do nich na przyszłość lepiej stosować. Największa jednak część naszych zwykłych cierpień pochodzi z naszej winy jedynie. Te ciężkie zapalenia płuc nierzadko się kończące suchotami, jakże często bywają skutkiem zbyt wczesnego zrzucenia na wiosnę cieplej a mniej zgrabnej odzieży, dla przywdziania strojniejszego a lżejszego okrycia, przez które ostry wiatr marcowy lub nawet kwietniowy na wskroś przewieje; te okropne bóle głowy następujące po nadmiernem użyciu niektórych gatunków win i ciężkich pokarmów, czyjąż są winą? A jednak nie umiemy się od tych nadużyć powstrzymać ilekroć się do nich zdarzy sposobność. Często dla zadowolenia nędznej próżności narażamy samych siebie na cierpienie a całą rodzinę naszę na niepokój. Choroba pochodząca jedynie z tak zwanego „z dopuszczenia Bożego“ zasługuje na współczucie i największą wyrozumiałość—tak zaś którą sami na siebie sprowadzamy własną lekkomyślnością; chociaż także musi być leczoną i pielęgnowaną, wzbudza litość graniczącą niemal z pogardą.

A ileż to razy pysznimy się prawie z błędów naszych w tej mierze popełnianych mówiąc np. „Ja nigdy o sobie nie myslę“; lub: „Nie lubię troszczyć się o moje zdrowie;“ lub: „Co mię to obchodzi czy zachoruję?“ Takie i t. p. zdania często usłyszeć można, głównie z ust młodych osób, którym się zdaje że już nikogo słuchać nie potrzebują, a dojrzeć jeszcze nie umieją tego odległego czasu kiedy ciało w dziesięć kroć mścić się będzie za każdą do znaną zniewagę.

Któż zresztą może za nic liczyć kłopot jaki całej rodzinie sprawia jeden chory w domu? niepokój rodziców i przyjaciół, niezbędne koszta jakie choroba za sobą pociąga? O zaiste! jeżeli prawo naznacza karę na uratowanych samobójców, czy nie należałoby postanowić także stosownej kary na tych którzy popełniają powolne samobójstwo rujnując bezmyślnie zdrowie?

A jest wiele sposobów narażania go niepotrzebnego. Wypada nam tu zwrócić uwagę na okoliczność, w której trudno jest czasem odróżnić obowiązek od brawowania — to jest jak dalece należy narażać się na zaraźliwe choroby.

Niegdyś, uważano powszechnie zarazę jako plagę zesłaną przez samego Boga, z którą walczyć było rzeczą bezużyteczną, co gorsza nawet, bezbożną. Dziś jeszcze można usłyszeć zacne i rozsądne osoby mówiące, kiedy je ostrzegają aby nie wchodziły bezpotrzebnie do domu dotkniętego tyfusem: „O! ja się nie obawiam; jeżeli się Bogu podoba żebym się zaraziła to nic moja ostrożność nie pomoże, jeżeli nie, to jestem bezpieczna.“

Bardzo pięknie! ale podobaż się Bogu aby zaraza roznoszoną była od domu do domu przez te wierzące osoby, które mogą wprawdzie same jej uniknąć, ale nie myślą o tem ile nieszczęść sprowadzić mogą na drugich.

Najnowsze badania dowiodły zresztą, że podobnie jak wiele innych tego rodzaju klęsk, zaraźliwe choroby i epidemie pochodzą głównie z naszego niedbalstwa i naszych błędów, a bynajmniej nie z zesłania Bożego; że On w nieograniczonej mądrości swej, dostarczył nam srodków do zapobieżenia im i leczenia ich, a ci którzy te środki zaniedbują lub odrzucają, nietylko że nie mają prawa narzekać na klęskę, ale zasługują na najsurowszą karę.

Wszelkie zarazy mogą być prawie zawsze zaliczone do kategoryi zapobiegliwych klęsk, i obowiązkiem jest każdego chrześcijanina dopomagać Wszechmocnemu—jeżeli się tak wyrazić można, to jest stać się w Jego ręku narzędziem do stłumienia złego w samym jego zarodzie.

Zaraza powinna być koniecznie tłumioną, i działalność jej ograniczoną do najciaśniejszego kółka, choćby kosztem cząstkowych poświęceń. Pierwszem staraniem osoby dotkniętej zaraźliwą chorobą, powinno być żeby o ile możności najmniej drugim jej udzielić. Wzruszającą jest oględność w tej mierze pewnego angielskiego duchownego, który poznawszy że dostał ospy, nie chciał powracać do swego domu, nie chciał wsiąść do powozu który mu sprowadzono dla przewiezienia go do szpitala, lecz zawołał przejeżdżającej brony, wgramolił się na nią, i tak zaprowadzony został do opiekuńczej bramy szpitala.

Jakże odmiennym jest przykład tego szlachetnego człowieka, który z uwielbienia godną troskliwością pamiętał o prawach bliźniego, od znalezienia się pewnej czułej matki, która gdy inna matka wahała się czy wsiąść do wagonu pełnego dzieci, z powodu że jej chłopczyk świeżo był po odrze, zawołała naiwnie:—„O! jakże pani wdzięczną jestem za tę ostrożność! bo oto mój drobiazg tu obecny tylko co przebywał szkarlatynę, cóżby to było gdyby zaraz potem przyszła odra?“ — Ale nie pomyślała o tem że i dla tamtego chłopczyka równie mogła być zgubną szkarlatyna po odrze.

Bezwzględna sprawiedliwość, daleka od wszelkiej czułostkowatości, powinna być za-

*) Gra świeczki nie warta.

sadą każdego kto tylko ma z konieczności bezpośrednią styczność z zarazą. Lekarze, dozorczynie chorych, oraz krewni i przyjaciele z obowiązku pielęgnujący takowych, muszą robić ofiarę ze swego życia, spełniać swą powinność, a resztę poruczyć Bogu. A na szczęście nie brakuje nigdy ani zacnych lekarzy, którzy obrawszy dobrowolnie powołanie wymagające tak wielkiego poświęcenia, spełniają je ochoczo i bez szemrania; ani troskliwych dozorczyń, które czy to dla swoich, czy dla obcych, z ludzkiej miłości czy z chrześcijańskiego miłosierdzia, narażają świadomie życie swoje na niebezpieczeństwo. Ale na tem powinien być koniec. Każdy kto lekkomyślnie i bez potrzeby, przez naganną brawurę, a choćby i przez źle zrozumianą pobożną gorliwość, naraża się sam i przyczynia do rozszerzania zarazy, popełnia zbrodnię przeciwko społeczeństwu i za szkodliwego członka przezeń uważanym być powinien.

Sam Chrystus nie pogardzał ciałem. Uważał je za „świątynię Ducha Bożego.“ Ascetyzm równie był mu dalekim jak zbytkami rozpieszczone życie. Nie ograniczał się na nauczaniu ludu zasad bogobojnego postępowania, lecz *czynił* mu dobrze. Gdy się tłumy zebrały dla słuchania Go, pytał najpierwej „czy mają co jeść? gdyż wielu z nich przyszło z daleka.“ Gdy wzbudził z martwych córkę Jairowa, rozkazał „aby jej co jeść dano.“ W żadnym razie, od początku do końca swego posłannictwa, nie pogardzał ani lekceważył tych cielesnych dolegliwości, które nie możemy wiedzieć do jakiego stopnia sam podzielał.

Godnym jednak uwagi faktem jest, że się na nie nigdy nie skarżył. Raz tylko jeden z ust Jego wyszły słowa: „niech ten kielich minie mnie“—po czem zaraz nastąpiło przyjęcie go chętne:—„nie moja, ale Twoja wola niech się stanie!“—Co za nauka dla nas, którzy tak skorzy jesteśmy wyrzekać na najdrobniejszą dolegliwość, na najlżejszy ból lub cierpienie; tak gotowi ganić każdego za to, wyjąwszy siebie samych; tak pochopni do radzenia się byle jakiego szarlatana raczej niżelibyśmy wstrzemięźliwością uleczyli i z cierpliwością znosili nic nie znaczącą słabość, nie dręcząc nią naszych najbliższych.

I pod tym względem Chrystus daje nam najwznioślejszy przykład. Konając najboleśniejszą śmiercią, nie o Sobie, lecz o swej Matce i uczniach myślał jedynie. I tak też czyni nie jeden chory i umierający, który za życia był Jego pokornym naśladowcą.

Bo naprożno ten i ów popisuje się ze swą niewiarą: duch Chrześcijanizmu tak głęboko wniknął w serce ludzkości, że nie jeden sceptyk jest Chrześcianinem sam nie wiedząc o tem. Może zaprzeczać dogmatowi, ale nie może uniknąć wpływu tej boskiej moralności którą Chrześcijanie uznają za słońce prawdy. Bywają chwile kiedy mgły słońce to przyćmiewają, i wtenczas niektórzy powątpiewają o jego istnieniu; ale bez niego nie byłoby wcale dziennego światła.

Na zakończenie zastanówmy się chwilkę nad starością, tą epoką życia naszego kiedy dolegliwości już nie często, ale ciągle dokuczają zużytemu ciału. Pewna cierpiąca osoba odpowiedziała drugiej która chwaliła się przed nią że się czuje lepiej niż się przez wiele lat czuła; „Ach! moja droga, ja już nigdy lepiej się czuć nie będę.“

I nic w tem dziwnego, gdyż miała już siedmdziesiąt sześć lat, lecz nie umiała się pogodzić ze swą starością, z powolnem zużywaniem się doczesnej powłoki, które uważać powinniśmy jako przygotowanie czynione przez dobrotliwą naturę do całkowitego jej zrzucenia.

Ciężkie to przejście dla wielu; wszystkie grzechy kiedykolwiek popełnione względem ciała—a względem ciała tak samo grzeszyć można jak względem duszy—powstają groźnie z mściwym odwetem. Epoka ta zaczyna się od chwili kiedy sami zaczynamy czuć że się rzeczywiście starzejemy, i że każdy to spostrzega, lecz przez grzeczność nic nie mówi, lub poprzestaje na znaczącej uwadze:—Jak też pan, (lub pani) młodo wygląda! czem daje do zrozumienia że nie mamy już prawa młodo wyglądać.

Nie ulega jednak wątpliwości że jest rzeczą możliwą przez nadzwyczajną troskliwość od samego początku tej epoki upadku, uniknąć najgorszych jej dolegliwości, i uczynić wiek zgrzybiały względnie znośną rzeczą—wolną przynajmniej od tych cierpień i przykrości, które sprawiają że wiele osób otwarcie mówią że nie życzą sobie doczekać starości.

Naprzykład, jak rzadko kto umie uznać tę prawdę, tak jednak oczywistą, że kiedy przyrządy trawienia zaczynają się zużywać, wypada mniej im dawać do czynienia. Posiłek od którego młody człowiek powstałby głodnym, aż nadto jest dostateczny dla siedmdziesięcioletniego starca. Można być pewnym że najzdrowszymi, najczynniejszymi, najprzytomniejszymi starcami są ci którzy zachowują wielkie umiarkowanie w jedzeniu, którzy coraz są wstrzemięźliwszymi w miarę postępu lat. A ci którzy do najpóźniejszego wieku zachowali upodobanie w życiu i jego przyjemnościach, zawdzięczają to wielkie dobrodziejstwo temu, że we wszystkich swoich zwyczajach powrócili stopniowo do dziecęcej prostoty. Rzeczywiście, zdaje się jakoby natura, jeżeli z nią nie walczymy bezrozumnie, cofa nas zwolna do wszystkich upodobań i niedostatków pierwszych lat życia naszego, do ich niewinnych zajęć, przymusowej, chociaż nie koniecznie przykrej ani upokarzającej zależności; słowem daje nam krótkie wytchnienie w drugiej kolebce przed złożeniem nas do grobu.

A taka starość, uważmy to, jeżeli dobra dla nas samych, niemniej przyjemną i korzystną jest dla otaczających nas. Dobrze jest dla młodego pokolenia żeby widziało jak chętnie odrywamy się od tego świata który nam się powoli wymyka. Chociaż nie możemy już tak jak oni, pracować całemi dniami i tańczyć całemi nocami, chociaż z każdym rokiem potrzebujemy więcej starań, większej systematyczności w godzinach przeznaczonych na jedzenie, więcej snu — a przynajmniej więcej spoczynku, chociaż musimy czasem po pół dnia używać zupełnego wczasu, lub znosić spokojnie cierpienie, żeby módz przez resztę dnia cieszyć się towarzystwem naszych ukochanych, — wszelako życie nie jest dla nas ciężarem, i staramy się o ile możności jak najmniej być sami ciężarem dla drugich. Mieliśmy swój dzień; nie psujmyż go tym na których kolej przyszła.

Taka starość nie może być smutną ani wstrętną. Może, musi nawet mieć swoje dolegliwości; ale te nie potrzebują być wszystko pochłaniającemi, jeżeli zużyte ciało pielęgnowane jest z należną sobie pełną poszanowania troskliwością. W najgorszym razie, fizyczne cierpienia nie są może trudniejszemi do zniesienia od strasznych nieraz moralnych walk młodego wieku szarpanego namiętnościami, lub od poważniejszych cierpień dojrzałego, kiedy nieraz upadamy pod ciężarem obowiązków, bolejąc nad nieszczęściami którym zaradzić nie jest w naszej mocy, i z trwożnym niepokojem spoglądamy w niepewną przyszłość, zapominając o tem że ona się wkrótce zamieni na nieszkodliwą przeszłość.

Dla starca to wszystko nie istnieje. Starzec nie zwykł niczem się bardzo martwić. Godnem jest uwagi że ludzie w podeszłym wieku, nawet taką stratę któraby ich przed kilkoma laty była zupełnie przybiła, przyjmują z pozorną obojętnością, i ciągną dalej ciężar życia spokojnie, nawet wesoło, nie żaląc się, nie ubolewając—może dla tego że blizki koniec przed sobą widzą. Nawet żal i cierpienie łagodnieje w oczekiwaniu rychłego spoczynku.

Tak bywa z ludźmi spokojnego i cierpliwego usposobienia. Dla innych zawsze jeszcze cóś pozostaje. Miałem wszystko czego pragnąłem, mówił jeden z najruchliwszych tegoczesnych umysłów, jeszcze pełen życia, pomimo siedmiudziesięciu lat wieku: „Życie było dla mnie długą zagadką, ale się już zbliżam do końca. Jedna rzecz mnie już tylko zajmuje—chcę odkryć wielką tajemnicę, i uczynię to wkrótce.“ „Wszystko byłoby dobrze gdybym tylko mógł wyswobodzić się z mego ciała,“ mówił inny, wielkiemi dotknięty cierpieniami. Bo trafiają się chwile w których najcierpliwszy z nas rad jest temu że nie będzie żył wiecznie. Szanujmyż ziemską naszę powłokę jak przystoi, obchódźmy się z nią umiejętnie i troskliwie, a przyjdzie chwila że bez wielkiego żalu złożymy ją z siebie, nie tylko z jej wszystkiemi grzechami, ale z jej nieodłącznemi dolegliwościami; będąc zaś Chrześcianami, i wierząc że śmierć jest bramą życia, w tej myśli znajdziemy pociechę na upadek sił naszych fizycznych i umysłowych, na widok opróżniającego się powoli świata w około nas, z miłych nam, ukochanych, rozumnych i dobrych, którzy po jednemu wyprzedzają nas w tę drogę z której nikt nie powraca.

L. Kaczyńska.

ŚLADY ŻYCIA.

Tyle życia ile w czynie.

XXIII.

Jużto w sposób nieubłagany śmierć wydziera nam w ostatnich czasach jedną po drugiej

osobistości, na arenie życia publicznego wysunięte, powołując je do wędrówki pozagrobowej. Znów bowiem przychodzi nam dorzucić garść wspomnienia na dwie mogiły. Jedna pokryła zwłoki ś. p. Adama z Górki Gorczyńskiego, znanego pod pseudonimem Jadama z Zatora, a zmarłego we wsi Brzeźnicy pod Krakowem dnia 22 maja r. b. w 75 roku życia.

W długoletniej literackiej działalności swej ś. p. Gorczyński zyskał sobie stanowisko pożytecznego i zdolnego pracownika literackiego jako powieścio-pisarz. Znane są jego „Powieści Jadama" znakomitem piórem skreślone, które doczekały się kilku wydań.

Pierwsze z tych wydanie sięga roku 1838. Niemniej „Silva rerum" w r. 1842, „Farmazon" w r. 1844, „Poezye liryczne" wr. 1844, „Zeno" w r. 1848, oprócz wielu innych powieści i utworów dramatycznych, których tu niewyliczamy, jako w pobieżnej wzmiance. Dodać nam wypada, że jego powieści tłomaczone były na język czeski i niemiecki. Ś. p. Adam zajmuje zaszczytne miejsce w kole powieściopisarzy, odznaczających się obrazowaniem przeszłości i swojskości, miłością stron rodzinnych i wysokiem poszanowaniem tradycyi. Nietylko jako pisarz, ale i jako człowiek, jako prawdziwy obywatel społeczny, pozostawił po sobie wspomnienie niezachwianego poszanowania dla siebie.

Druga mogiła ukryła w sobie zwłoki ś. p. Ludwika Zawadzkiego, zmarłego w d. 25 maja r. b. w Lublinie.

Zmarły był autorem wysokiej wartości pracy p. t.: „Znaczenie lasów w porównaniu z gospodarstwem rolnem." Prócz tego ś. p. Ludwik był współpracownikiem prasy peryodycznej, której od czasu do czasu udzielał płody pożytecznego pióra swego.

Jako człowiek odznaczał się zacnością charakteru i w ogóle wysoką uczciwością w postępowaniu z ludźmi.

* * *

Znajdują się ludzie o zacnych poczciwych tendencyach społecznych, a nie mający ani krzty dumy ani próżności własnej, lub jak chcecie, chęci pokazania się. Niedawno zaznaczyliśmy takiego bezimiennego ofiarodawcę rubli stu na nagrodę konkursową za napisanie najlepszego projektu *kółka pomocy dla szwaczek*, dziś z równąż przyjemnością notujemy fakt zacności i szlachetności także bezimiennej a objawionej, jak się okazuje, z całą świadomością pedagogicznych potrzeb naszych. Nieznany bowiem ofiarodawca złożył za pośrednictwem osoby trzeciej w Banku rs. 300, jako nagrodę konkursową, przyznać się mającą przez krajową władzę edukacyjną temu z pedagogów i zarazem kierowników męzkich zakładów naukowych (pensyonatów), kto wykaże, iż prowadzenie zakładu miało na względzie zarówno warunki kształcenia umysłu jak serca i rozsądku, czyli nietylko na naukę, ale na moralność elewa miano baczenie. Jak się do tego brano i czy jaką rutynę w tym względzie postawiono sobie? Dalej, że taki wychowawca pedagog miał na względzie warunki sanitarne higieniczne i dyetetyczne i jakiego pod tym względem trzymał się systamu. Nakoniec, że wyrabiał w elewach siły fizyczne za pomocą używania gimnastyki i wdrażał ich do samopomocy w codziennych potrzebach drobnostkowych życia, by przygotowywać małych obywateli kraju do wszelkich przeciwności, jakim w dalszym swym żywocie podlegaćby mogli.

Oto jest mniej więcej programat tego prawdziwie pożytecznego konkursu. Jak widzimy, programat ten rozumnie postawiony, obejmuje wszystkie strony wychowania elewa, kto go więc postawił, znać musi gruntownie ten przedmiot i całą potrzebę reform pedagogicznych w naszych pensyonatach, którym przyznać trzeba, bardzo wiele niedostaje.

Taki jak powyż wzmiankowany konkurs przynosi prawdziwy zaszczyt szlachetnemu ofiarodawcy, który zachowując incognito swoje, tym więcej jeszcze na uwielbienie zasługuje.

Obyśmy więcej mieli podobnych projektów w czyn postawionych i podobnych ludzi, a bylibyśmy potężni umysłem, duchem i sercem.

* * *

Mówiąc o jednym konkursie, wspomnijmy o innym lecz już dokonanym.

— Czy przypadkiem nie o tym wielkim konkursie dramatycznym, który się niedawno u nas rozbił, zapyta czytelnik?

Ale gdzież tam, nie o tym, nie o tym, ktoby tam odważył się tak często o nim mówić, toć dopiero wspominaliśmy o nim w zeszłym numerze pisma naszego, czekajmy więc teraz na wyjaśnienie motywowane komissyi konkursowej i dopiero coś o tem objaśnieniu będziemy mogli powiedzieć.

A teraz pomówmy o konkursie lekarskim odbytym w Wilnie. Tematem tego konkursu była rzecz o kołtunie z nagrodą konkursową rs. 500. W dniu 8 maja r. b. odbyło się w Wilnie, jak donosi „Medycyna" nadzwyczejne posiedzenie Towarzystwa Lekarskiego, celem wysłuchania sprawozdania komisyi konkursowej. Dr. Lewandowski referent tejże komisyi odczytał jej sprawozdanie i... nagrodę konkursową przyznano jednomyślnie p. Henrykowi Dobrzyckiemu lekarzowi szpitala w Mieni.

Zasługa p. Dobrzyckiego tem jest większą, iż rzeczony konkurs trwał lat 70, bo od r. 1805, w którym pierwszy raz postawiono ten temat do rozwiązania—drugi raz podano go w r. 1855, lecz w jednym i drugim razie nie otrzymano odpowiednich rezultatów. W końcu dopiero w roku zeszłym oznaczono po raz trzeci tenże sam konkurs i jak widzimy z zadawalniającym wypadkiem.

* * *

Niedawno w Płocku Dr. Ostrowski miał odczyt publiczny „o cywilizacyi ludów przedhistorycznych." Gazeta miejscowa „Korrespondent Płocki" wydrukowała w szpaltach swoich ocenę tego odczytu. Za tę ocenę, która mówiąc nawiasem, trzymaną była tylko w granicach traktowania samego przedmiotu, nie dotykając osobistości Sz. Prelegenta, tenże pociągnął Redaktora i Wydawcę pomienionego pisma przed kratki kryminalne.

„Korespondent Płocki" zamieścił w tym względzie następujące oświadczenie, które w całości zamieszczamy.

„Process. Jesteśmy w obowiązku donieść naszym czytelnikom, że redaktor i wydawca „Korrespondenta" pociągnięci zostali do odpowiedzialności kryminalnej na skutek skargi przez d-ra Ostrowskiego, do tutejszego Sądu Poprawczego wniesionej.

„Czytelnicy przypominają sobie zapewne recenzyę odczytu publicznego d-ra Ostrowskiego „o cywilizacyi ludów przedhistorycznych," w Nr. 25 naszego pisma drukowaną. Recenzya ta, ograniczona ściśle do naukowej krytyki zasad przez prelegenta przedstawianych, wywołała obszerną odpowiedź ze strony d-ra Ostrowskiego, którą to odpowiedź redakcya, wierna zasadzie zupełnej bezstronności, chętnie drukować chciała; ale przekonawszy się że ta napisana jest w sposób jak najbardziej nieprzyzwoity i ubliżający godności pism, i oczywiście nie chcąc i nie mogąc drukować paszkwilów przeciw samej sobie, zawiadomiła o tem d-ra O... w Nr. 27 „Koresp." i w liście prywatnym.

„W tem postępowaniu redakcyi d-r. O... upatrzył naruszenie przepisów o cenzurze z roku 1868, jak również wyrządzenie mu obelgi osobistej, i za te przestępstwa domaga się wymierzenia na redakcyę kary pieniężnej, która wynosiłaby kilkaset rubli, i kary za obelgi, w prawie obowiązującem określonej.

„Śledztwo w tym processie, energicznie popierane przez skarżącego, prowadzi się obecnie przy assystencyi dwóch obrońców przez redakcyę ustanowionych.

„Redakcya zaczepiona w sposób tak napastniczy, pragnąc jak najwięcej wyświetlić ten fakt przed opinją publiczną, nie zaniedba zawiadomić czytelników o terminie, do osądzenia sprawy wyznaczyć się mającym, jak również i o wyroku, jaki Sądy wydadzą."

* * *

Czytamy w „Kuryerze Warszawskim:" „Z przedstawień danych na rzecz szpitala Jana Bożego w trzech ogródkach wpłynęło w ogóle czystego dochodu 680 rs. wraz z naddatkami. Mianowicie z ogródka „Alhambra" 375 rs. 39 kop. (wydatki wynosiły rs. 143 kop. 41) — z ogródka „Eldorado" 186 rs. 10 kop. (wydatki wynosiły rs. tylko 22 k. 65 jako zwrot za muzykę) nie licząc przypadającej dyrekcyi należytości — z ogródka „Alkazar" 118 rs. 51 kop. (wydatki wynosiły rs. 102). Naddatkami przyszli w pomoc instytucyi: pp. Lewental ofiarą rs. 100, Glücksberg rs. 25, i inni. P. Trapszo, jak wyżej powiedziano zrzekł się przypadającej dlań części, p. Cotty ofiarował bezpłatnie afisze. Właściciele ogródków zrzekli się także opłaty. Wszystkim tu wyżej wymienionym, jak i innym w rzeczy tej udział biorącym osobom, składa kurator szpitala serdeczne podziękowanie, dodając iż uzyskany fundusz przeznaczony będzie stale na kuracyę jednego z artystów lub autorów dramatycznych. Wyjednanie decyzyi na ten żelazny fundusz nastąpi."

* * *

*

Jeszcze jeden konkurs.

Podobno Komitet Techniczno-Inspektorski dróg żelaznych z rozporządzenia Ministra Kommunikacyi, wyznaczyć ma konkurs na wynalezienie przyrządu bezpieczeństwa, „mającego na celu usuwanie ludzi, którzyby przypadkowo narażeni byli na dostanie się pod pociąg.

Przyrząd taki ma być przytwierdzony do pociągu i w niczem nie paraliżować jego biegu, a ciężkość przyrządu nie może przyczyniać wagi na przednią oś parochodu, więcej nad 45 pudów.

Termin składania planów konkursowych pod adresem Ministerstwa Kommunikacyi, wyznaczony jest najpóźniej na 1-go (13-go) stycznia 1877 r. w zapieczętowanych kopertach, na których ma być wypisane signum takie same jak na drugiej kopercie, zawierającej nazwisko i adres autora projektu. Projekt ma być w tekscie rossyjskim lub w innym wraz z tłomaczeniem na rossyjski język.

Nagród konkursowych będzie trzy. Pierwsza w summie rs. 3,000 za najlepszy projekt, któremu nic odjąć ani dodać nie będzie potrzeba. Druga w summie rs. 1,500 za projekt który jakkolwiek odpowiednim będzie celowi, wszakże wymagać będzie pewnych poprawek. Trzecia zaś rs. 500 za projekt, który jakkolwiek nie będzie odpowiedni do użytku, to jednak zawierać będzie pewne dodatnie strony, które jako materyał stosowny do konstrukcyi podobnego przyrządu, posiadać będzie swoję wartość.

Projekty opremjowane przechodzą na własność rządu.

* * *

Ponieważ zamieściliśmy w poprzednich numerach niniejszego pisma rys sprawozdawczy z agitującej się kwestyi utworzenia *kółka pomocy dla szwaczek*, kwestyi nader ważnej i będącej bardzo na dobie, a którą sami też poprzednio poruszyliśmy, przeto nie pomijamy żadnej uwagi co do tego projektu postawionej.

Tym razem więc zamieszczamy w całości *art. nad.* do „Kuryera Warszawskiego," który brzmi jak następuje:

„Pozwól Szanowny Panie Redaktorze dorzucić parę słów do tak żywo poruszonej sprawy kobiecej pracy zarobkowej.

„Zdaje się być pożądaną rzeczą, aby mający się ogłosić konkurs na ustawę Stowarzyszenia, dotyczył nietylko samych szwaczek, jak dotąd mieć chciano, ale ogółu kobiet pracujących ile, że przewidywać należy, że przy napływie idei iście postępowych oraz z samej potrzeby społecznej, liczba kobiecych zajęć z każdym dniem wzrastać będzie a nawet wzrastać musi, czego się też pragnie ogólnie. Popieranie przeto jednego tylko i to najbardziej niewdzięcznego rodzaju pracy możeby stało w pewnej sprzeczności z ogólnym prądem naszego społecznego życia i chybiałoby celu o tyle, że praca igłą dla tego właśnie jest niepopłatną, że jest niemal jedyną. Gdy do czynu przyjdzie, wtedy można na początek zająć się jedynie pracownicami igły, jako zastępem najbardziej licznym w szeregu kobiet zarobkujących, ale ustawa która się pisze nie na rok ni też na lat kilka i rozliczne formalności przechodzić musi, winna unikać wyrazu szwaczka, jako więcej specyalnego, zastępując takowy ogólnikiem.

„Kończąc te uwagi, czuję obowiązek nadmienić, że zebrane przezemnie w ciągu lat paru materyały z innych tego rodzaju Stowarzyszeń, wszędzie okazują kierunek więcej ogólny niż specyalny i takim też jest mój projekt na tych materyałach osnuty."

Wł. K. Zaleski.

Uwagi powyższe miałyby wiele słuszności, gdyby rozciągłość projektu odpowiednio do tychże uwag, mogła łatwo znaleźć zastosowanie w praktyce.

Zdaje nam się jednak, że łatwiej będzie zgromadzić *Kółko pomocy dla szwaczek*, aniżeli stowarzyszenie o rozleglejszych znakomicie rozmiarach, bo dotyczące ogółu pracujących kobiet. Nie przeczymy, że to jest myśl bardzo szlachetna i bardzo nagląca, wszelako jesteśmy zdania, ażeby rozpocząć w mniejszym zakresie, ograniczając się tymczasem-li tylko do szwaczek. A jak na tym punkcie sprobujemy sił swoich i dobrej woli, wtedy będziemy mogli zawiązać *Stowarzyszenie dotyczące ogółu pracujących kobiet*, i poprzednie *Kółko pomocy dla szwaczek* przystąpić będzie mogło do takiego ogólnego stowarzyszenia, poprostu jako specyalny oddział onego. Gdybyśmy byli pewni wprowadzenia w życie odrazu tak szerokiego i ogólnego stowarzyszenia to dobrze, lecz znając nasz (mówiąc otwarcie) brak wytrwałości, radzilibyśmy spróbować na małym, ażeby przez raptowne i nieoględne rzucenie się do wielkiego dzieła nie zrobić *fiasca* i przez to nie stracić mniejszego projektu. Bo lepszy tymczasem rubel a pewny, jak sto na loteryi.

Co do punktu w powyższym artykule, że na początek zająćby się można tylko pracownicami igły, to uważamy za nie możliwe, choćby tylko z tego jedynie powodu, iż takie ogólne stowarzyszenie nie mogłoby z samego charakteru swego, nawet na początku robić jakichkolwiek wyłączeń.

Co zaś do rozlicznych formalności, jakie ustawa przechodzić musi, to zdaje nam się, że to na żaden wzgląd zasługiwać nie może, bo czemże są takie formalności wobec wątpliwowości powodzenia projektu?

* * *

Cieszcie się piękne panie. Wasze jak to mówią *na wierzchu*. Równouprawnienie pięknej połowy rodzaju ludzkiego z brzydką połową już jest faktem spełnionym. Już nic wam nie pozostaje do życzenia chyba ..... wstępować do landwery. Oto w rzeczy pospolitej Chili *Kobiety uzyskały prawo publicznych wyborów*. Tak przystępować do urny wyborczej jak i wchodzić na mównicę parlamentarną będzie zarówno dziełem kobiet jak mężczyzn Chilijskich. Zobaczymy jednak jaki obrot przybierą sprawy polityczne rzeczypospolitej Chilijskiej.

* * *

Znowu wyznaczono w Krakowie konkurs dramatyczny na rok 1877.

Warunki takowego są następujące:

Nagrodę 600 zł. reń. otrzyma najlepsza zdaniem komisyi komedya na tle spółczesnem lub historycznem, zapełniająca cały wieczór, najmniej w trzech aktach.

Nagrodę 300 zł. reń., otrzyma najlepsza zdaniem komisyi sztuka ludowa ze śpiewami lub bez śpiewów.

Gdyby nagroda 600 zł. reń. nie została przyznaną, a komisya uznała za potrzebne, podwyższy nagrodę sztuki ludowej o 100 zł. reń. z nieużytego funduszu.

Komedye i sztuki ludowe, zalecone do grania przez komisyą otrzymają 10% tantyemy od czystego zysku dochodu za każde przedstawienie, a mogą być grane tylko za zezwoleniem autora.

Rękopismy powinny być nadsyłane pod adresem *Dyrektora p. Koźmiana w Krakowie* przed dniem 1 stycznia 1877 r., jednak do 15 stycznia t. r. komissya będzie przyjmowała nadsyłane utwory. Po tym ostatnim terminie, przyjmować już ich nie będzie. Komisya rozpocznie swoje prace d. 1 stycznia 1877 r. Zastrzeżenia czynione na poprzednich konkursach, co do sztuk drukowanych, granych lub odrzuconych przez komisyą, obowiązują nadal. Komisya uprasza o nadsyłanie czytelnych rękopismów.

Skład komisyi jest następujący: przewodniczący p. Koźmian; — członkowie pp. Karol Estrejcher, Antoni Kłobukowski, Aleksander Podwyszyński (reżyser), Edward Raczyński, Lucyan Siemieński, Maryan Sokołowski, Ignacy Skrochowski, Aleksander Szukiewicz, Stanisław Tomkowicz. Do komisyi należą także ofiarodawcy: Franciszek Łubieński, Artur Potocki, Jan Zamojski, Marcelli Czartoryski.

* * *

Kiedyśmy się tak rozkonkursowali, to doniesiemy czytelnikom naszym jeszcze o jednym konkursie. Tym jest konkurs z dziedziny sztuk pięknych.

Komitet towarzystwa zachęty sztuk pięknych, ogłosił jak wiadomo na rok bieżący trzy konkursy: *z malarstwa*, *rzeźby* i *architektury*.

Do konkursu z malarstwa, podano temat: *„Projekt figurowego ozdobienia plafonu nad klatką wchodową w lokalu towarzystwa zachęty sztuk pięknych, na skale jedna stopa w calu."*

Do konkursu z rzeźby wyznaczono temat: *„Pomnik dla poety Antoniego Malczeskiego, złożony z figury alegorycznej na odpowiedniej podstawie. Wysokość figury 24 cale."*

Na konkurs z architektury wyznaczono temat: *„Szkic do projektu kursalu w urządzić się mającym parku w Ciechocinku na osób około 400, jednocześnie tam bawiących."*

Oprócz powyższych, komitet ogłasza dwa konkursa do nagród, pochodzących z zapisu ś. p. hr. Stanisława Szczęsnego Kossakowskiego. Konkursa te odnoszą się do *rzeźby* i *architektury*.

Na konkurs rzeźbiarski wyznaczono temat:

„Figura zmartwychwstającego Chrystusa. Wysokość figury 24 cale.“

Na konkurs architektoniczny wyznaczono temat: *„Projekt baptisteryum (kaplica), dotykającego nawy kościelnej, mającego przestrzeni wewnętrznej około 800 st. kw. Skala 10 stóp w calu.“*

Termin składania dzieł do wszystkich pięciu konkursów wyznaczono na dzień 22 grudnia r. b. na ręce kuratora wystawy towarzystwa, z załączeniem koperty, zawierającej nazwisko i adres autora, a opatrzonej dewizą lub znakiem takim samym jak na dziele autora.

Po terminie złożenia dzieł konkursowych, komitet wespół z zaproszonymi znawcami sztuki oceni takowe i najlepszym z dzieł przyznane będą premie dla pierwszych trzech po rsr. 266, dla dwóch ostatnich z zapisu ś. p. hr. Kossakowskiego po rsr. 227.

* * *

W krakowskiej akademii umiejętności odbyło się posiedzenie wydziału historyczno-filozoficznego pod przewodnictwem D-ra Burzyńskiego.

Na tem posiedzeniu odczytaną została przez D-ra profesora Heyzmana, interesująca bardzo rozprawa: *O uprawnieniu dzieci per subsequens matrimonium, wedle prawa kanonicznego.*

Do dyskusyi z powodu tej rozprawy przystąpili pp. Burzyński, Koppf, Hoszowski i Zoll.

Przyczem złożono akademii umiejętności, drugi tom dzieła p. t.: „Dzieje bezkrólewia po Janie III-cim“ przez A. Walewskiego. Tom pierwszy wydanym został kosztem akademii umiejętności dwa lata temu.

* * *

We Lwowie odbyło się posiedzenie towarzystwa przyrodników imienia Kopernika.

Na tem posiedzeniu Dr. Sawicki odczytał dokończenie swej pracy: „O fizyologii zmysłów.“ Następnie pan Abakanowicz, czytał: „O astronomicznej teoryi gwiazdy Schiaparellego.“

* * *

P. Matuszyński artysta opery warszawskiej ukończył 35 lat artystycznej pracy i doczekał się w dniu 1-go czerwca jubileuszu. Dnia tego też koledzy p. Matuszyńskiego, oraz przedstawiciele dyrekcyi teatrów, zgromadzili się o godzinie dwunastej w południe na scenie teatru wielkiego, celem uczczenia jubilata.

Po odśpiewaniu odpowiedniej przez artystów kantaty, ułożonej przez p. Müncheimera, dyrektora opery do słów p. Szobera, wręczono wzruszonemu jubilatowi pamiątkowy puhar srebrny i zegarek złoty. Wręczenia tego dokonał p. Królikowski, znakomity nasz artysta dramatyczny, po wypowiedzeniu odpowiedniej i serdecznej przemowy.

Następnie p. Królikowski odczytał napisany przez p. Szobera wiersz okolicznościowy, wypisany na laurze, artystycznie odrobionej przez p. Szymanowskiego, artystę dramatycznego.

W końcu wszyscy składali gorące życzenia jubilatowi.

* * *

Niezadługo, bo za dwa lata, doczekamy się pięćdziesięcioletniego jubileuszu naszego znakomitego i wielce zasłużonego pisarza J. I. Kraszewskiego. Będzie to świetny jubileusz, do którego całe społeczeństwo nasze przyłożyć się będzie miało przyjemny obowiązek. Jedna z gazet lwowskich, wspominając o tym jubileuszu, proponuje wybicie odpowiedniego pamiątkowego medalu i wydania książki zbiorowej. Myśl to bardzo piękna i dobrze pomyślana, bo pozwoli wszystkim być uczestnikami tego jubileuszu, a młodszym braciom po piórze uczcić wielkiego przewodnika swego.

* * *

Rozpoczęło się nareszcie lato, (bo wiosny nie było wcale) podzwrotnikowemi upałami, a z niem i teatrzyki prowincyonalne rozpoczęły swe przedstawienia ogródkowe. Dochód z pierwszego przedstawienia ogródkowego pp. dyrektorowie teatrzyków, poprzednim zwyczajem przeznaczyli na rzecz szpitala św. Jana Bożego, co jest bardzo pięknem z ich strony.

Od oceny gry i zdolności artystycznych tychże teatrzyków wstrzymujemy się na dziś, pozostawiając ją na później. Powiemy tylko, że w teatrzykach tych przeważa w ogóle kierunek Offenbachowski, od czego wyjątek stanowi teatrzyk p. Terenkoczego w Tiwoli, nawiasem mówiąc, o siłach artystycznych, dobrze się rekomendujących, na którym wystawiają sztuki dramatyczne poważniejszego pokroju. Bylibyśmy zdania, że zbyt poważne i tkliwe melodramy, jak np.: „Dwie sieroty,“ przedstawione w Tiwoli, są zbyt nużące i niezupełnie odpowiednie na scenę ogródkową. Najodpowiedniejszym za to materyałem dramatycznym byłaby komedya współczesna, której dobry wybór i dobre przedstawienie zjednałoby uznanie p. Terenkoczemu i napływ publiczności. Dodajemy zarazem, że ofenbachiady zanadto już zagnieździły się w Eldorado i Alhambrze, — a wartoby pomyśleć także więcej o komedyi, bo te ofenbachiady wkrótce się przejedzą publiczności, o jakim takim smaku dramatycznym.

* * *

Tegoroczne wyścigi trwać mają tydzień, a rozpoczną się d. 11 czerwca. Pierwsze wyścigi obejmą gonitw trzy: pierwsza gonitwa nagrodzoną będzie summą rsr. 500, wyznaczoną przez główny zarząd stada rządowego; druga gonitwa summą rsr. 1,000 jako nagrodą towarzystwa; trzecia rsr. 2,000 nagrodą Cesarską.

Drugie wyścigi w dniu 13 czerwca obejmować będą gonitw cztery: pierwsza nagrodzoną będzie summą rsr. 500, jako nagrodą towarzystwa; druga nagroda głównego zarządu stad rządowych także rsr. 500; trzecia gonitwa nagrodzoną będzie kwotą rsr. 1,000 przeznaczoną przez tenże sam zarząd i czwarta gonitwa odbędzie się o nagrodę miasta Warszawy.

Trzecie wyścigi w dniu 15, obejmą gonitw cztery: pierwsza nagrodzona będzie summą rsr. 800, jako nagrodą głównego zarządu stad rządowych; druga summą rsr. 1,000, jako nagrodą towarzystwa; trzecia otrzyma nagrodę dam; czwarta nagrodę towarzystwa.

Czwarte i ostatnie z kolei wyścigi odbędą się w dniu 18 b. m. i obejmować będą gonitw cztery: pierwsza otrzyma nagrodę towarzystwa rsr. 500; druga nagrodę głównego zarządu stad rządowych rsr. 800; trzecia stanowić będzie bieg koni pobitych na torze 1875 r. i czwarta bieg z przeszkodami.

Na zakończenie odbędą się wyścigi włościańskie.

* * *

Wiadomo, że krakowska akademia umiejętności, ma zamiar przedsięwziąć kolosalną pracę wydania słownika języka polskiego. Tymczasem jednak, zanim to uskuteczni, powzięła zamiar ułożenia główniejszych podstaw pisowni polskiej.

Komisya, wyznaczona do tej pracy, składać się ma z pp.: Majera prezesa akademii, Seredyńskiego, Wittego, Wisłockiego i Mecherzyńskiego. Komisya ta znosić się będzie z profesorem Małeckim.

Piękny to projekt i niezmiernie potrzebny, ponieważ dziś nie posiadamy stałych zasad pisowni i każdy pisze jak sam uważa. A tylko pisownia, ustanowiona przez ciało naukowe, na zaufanie ogólne zasługujące, może mieć stanowczą powagę. Takiej dotąd nam brak było i takiej z upragnieniem oczekujemy.

ZIEMIA PRZED POTOPEM.

(Dalszy ciąg.)

Epoka trzeciorzędowa.

Okres plioceniczny.

W tym końcowym okresie epoki trzeciorzędowej, w niektórych częściach Europy zaszły wielkie wstrząśnienia, w skutek ruchów skorupy ziemskiej, a ruchy te wywoływane były ciągle postępującem oziębieniem się ziemi. Części płynne w jej wnętrzu zawarte, przechodząc w stan stały sprowadzały fałdy na skorupie naszej planety i rozpadliny, przez które wylewały się materye w pół płynne lub grzęzkie, w skutek czego wystąpiły następnie z tych czeluści garby górskie. W ciągu okresu pliocenicznego, wyformowały się niemniej w Europie tu i owdzie pasma górskie, z wybuchów wulkanicznych. Każdy wytwór góry, bywał poprzedzonym gwałtownym ruchem, czyli *trzęsieniem ziemi.* Zapoznamy czytelnika

bliżej z tym procesem, mówiąc o zjawiskach wybuchowych.

Lecoq w ten sposób określa roślinność pliocenicząą. „W końcu epoki trzeciorzędowej w strefach umiarkowanych przejawiały się typy flory zwrotnikowej i powoli zaczęły ustępować w skutek oziębiającego się klimatu i wytworu silniejszych gatunków roślinnych. Skorupa ziemska ulegała w owym czasie, gwałtownym ruchom. Góry pokryły się śniegami wieczystemi, lądy przyjęły okresy dziś ziemi właściwe, lecz olbrzymie, jeziora obecnie wyschłe, istniały jeszcze, a potężne rzeki rozlewały się majestatycznie wśród równin, gdzie człowiek nie rozpoczął jeszcze dzieła poprawiania natury. Dwieście dwanaście gatunków składało florę plioceniczną, a wpośród nich paprocie pierwotnego świata już znikają równie jak palmy, które przetworzyły się w odmiany dziś pleniące się w krajach gorących. Na pobrzeżach wód wzrastały *Culmites arundimacens*, *Cyperites tertiarius*, po jeziorach pływały liście *Potamogeton geniculatus*, a w ich głębi żyły *Isoctites Prunnii.* Wielkie drzewa szyszkowe tworzyły lasy, obfitujące w gatunki *Tazodetes Thnyoxyton*, *Piunites* i *Tazites*. Z drzew europejskich znachodzimy w tej sylwii olchy, dęby, wierzby, brzozy, buki i klony, których to ostatnich aż czternaście gatunków Brongniart wymienia.

Najważniejszą przecież różnicę flory pliocenicznej od epok ten okres poprzedzających, stanowi w Europie brak drzew palmowych, które w miocenie w tej części świata, krzewiły się okazale. W żadnej zresztą epoce geologicznej, nawet nas najbliższej, dilenojalnej, gatunki roślinne dziś istniejące nie miały kształtów identycznych z pokrewnymi im poprzednikami. Zwierzęta żyjące na lądach w ciągu okresu pliocenicznego, zwłaszcza ssaki i płazy, przedstawiają nam budowę kolosalną. Z pośród ssaków mastodont jeszcze się utrzymuje, z nowych rodzajów występują hipopotam, wielbłąd, koń, wół, jeleń i t. p.

Wielkie stada olbrzymich wołów przebywały na równikach Francyi w Owernii i Velay, wielkością przechodziły żubrów, ustrojem przypominały bawołów.

Koń plioceniczny najwięcej może zbliżał się do dziś istniejącego, chociaż wzrostem nie przewyższał osła.

Małpy i jelenie rozradzają się w liczne gatunki w ciągu okresu pliocenicznego, nosorożec przejawiający się w miocenie dochodzi w tej epoce zupełnego rozwoju. Posiadał on między nozdrzami przegrodę kostną, jakiej nie ma u dzisiejszych tego rodzaju zwierząt, i stąd pozyskał nazwę *Rhinoceros tichorhinus.* W mieście Klagenfürt w Karyntyi jest wodotrysk, na którym wyrzeźbiono głowę potwornego smoka, uzbrojoną potężnym rogiem. Według legendy ludowej, potwór ten żył w grocie, z której wychodził szerząc wszędzie spustoszenia. Odważny rycerz zabił smoka, lecz przypłacił życiem to zwycięztwo. Na szczęście głowę tego smoka przechowano w ratuszu miejskim i naturalista Unger widząc ją, poznał od razu, że jest czaszką nosorożca kopalnego. Wszystkie tego rodzaju tradycye mogą być naukowo wyjaśnione, jeżeli tylko pozostawiają po sobie jakiekolwiek dowody materyalne; około Jakucka w Syberyi, znaleziono w 1771 r. zwłoki nosorożca kopalnego, zbadane przez Pallasa.

Ze wszech zwierząt przeżuwających pliocenicznych, najosobliwszym niezaprzeczenie było *Sivatherium.* którego szczątki znaleziono w Indyach na górze Sivalik, należącej do pasma Himalajskiego. Był to jeleń dochodzący wzrostem słonia, głowę miał uzbrojoną czterema potężnemi rogami, z których dwa występowały z czoła a dwa inne mieściły się nad brwiami.

Jak widzimy olbrzymie ssaki mogły stawać na równi z potwornemi płazami, chociaż te nie odgrywały już tak ważnej roli jak w epoce drugorzędowej. Z pośród tych w rzędzie skrzeków ogoniastych mieszczą salamandry, obecnie nie dochodzące dwóch stóp długości. Natomiast salamandry z epoki trzeciorzędowej przedstawiały wymiary krokodyla.

Odkrycie salamandry kopalnej, zajmuje ciekawą kartę w rocznikach paleontologii. Skielet tego płaza przez długi czas poczytywano za kości człowieka przedpotopowego, dopiero badania Campera i Cuviera rozproszyły panujący przesąd.

W 1725 roku górnicy pracując w kopalni wapienia łupkowego niedaleko Konstancyi, w bliskości miasta szwajcarskiego Oeningen, wykryli przedziwnie zachowany skielet, Scheuchzer naturalista wezwany do rozpoznatych szczątków, po ich zbadaniu orzekł, że nia należały do człowieka... W następnym roku Scheuchzer wydał broszurę opisującą te szczątki kopalne, zatytułowaną: *Homo diluvis testis*, to jest *człowiek świadek potopu.*

Dziełko to miało wielki rozgłos w Niemczech, nikt nie ośmielił się zaprzeczać opinii tak uczonego męża, a zarazem, co potrzeba dodać, niepospolitego teologa. Gesner wystąpił z nową broszurą podziwiającą szacowne szczątki człowieka przedpotopowego. Pierwszą wątpliwość w tej mierze rzucił Camper, który skielet ten poczytał za należący do skamieniałej jaszczurki, opinię te sprostował dopiero Cuvier, u znając okaz za szczątki salamandry. W ciągu okresu pliocenicznego, ptaki rozrodziły się licznie a mianowicie: sępy, orły, mewy, jaskółki, sroki, papugi, bażanty, kury, kaczki, gęsi i t p.

Rzućmy okiem na faunę morską okresu pliocenicznego: W oceanach owoczesnych przejawiają się pierwsze wieloryby, to jest zwierzęta ssące morskie. Delfiny różniły się budową od dziś istniejących gatunków, równie jak zęborożce czyli narwale.

Z mięczaków pliocenicznych wymieniamy: *Cardium hians*, *Panopea Aldovrandi*, *Fusus contrarius*, *Murex alveolatus*, *Voluta Lambertii.*

W Anglii pokłady wytworzone w ciągu okresu pliocenicznego, noszą nazwę *Crag*, we Włoszech nazywają je *warstwami podapenińskiemi.* Warstwy te wielce wydatne w hrabstwie Suffolk, składają się z osadów piasku kwarcowego, zabarwionych kolorem czerwonym przez materye żelaziste.

Piętro plioceniczne *Crag*, tworzy grube pokłady w Angers (w Belgii), w Carenton i Perpignan (we Francyi), oraz w kotlinie Rodanu. Najpotężniejsze wszelako osady plioceniczne, złożone z gliny i piasku, poprzekładane marglami i wapieniami zwironośnemi, formują wzgórza *Podapenińskie* rozpościerające się na stokach Apenińskich. Nowa-Holandya posiada też same pokłady, wreszcie siedm słynnych wzgórzy, na których Rzym się wspiera, wytworzyły się w części z warstw pliocenicznych.

W końcu tego okresu Europa w skutek tego osadzania się warstw morskich, przyjęła obrysy dziś jej właściwe. Osady Chersońskie, Krymskie nad morzem Azowskiem i Astrachańskie nad Kaspijskiem, należą do tego utworu geologicznego. Muły wodne zawierające szczątki niedźwiedzia pierwotnego (ursus spelacus) zapełniły jaskinie polskie, z wapienia jurasowego złożone. Taką jest pieczara królewska w Ojcowie, tudzież jaskinie w Jerzmanowicach i Olsztynie. Według nowszych odkryć a mianowicie ze znalezionych kości kopalnych wnosić należy, że pierwotyp człowieka przejawił się już w okresie pliocenicznym. (d. c. n)

NIEWOLNIK.

Szkic powieściowy.

(Dalszy ciąg.)

Na Łyczakowskim cmentarzu przy świeżej mogile klęczy młody mężczyzna. Pochyloną głowę ukrył w dłoniach. Płacze czy modli się?... Opodal na grobowym kamieniu siedzi zakonnik w czarnym płaszczu wpatrzony w swego towarzysza. Chłodny wiatr kwietniowy porusza szerokiemi skrzydłami jego kapelusza i żałośnie skrzypi poblizkiem drzewem. Wieczór się zbliża, słońce zachodzi czerwono, w ciszy rozlega się tylko dzwonek na „Anioł Pański.“

Zakonnik powstał i zbliżył się do nachylonego nad mogiłą mężczyzny:

— Chodź synu, rzekł łagodnie, kładąc dłoń na jego ramieniu. Modlący się wstał z ziemi. Był to młody Szarzycki, jeżeli młodym nazwać można człowieka, na którego twarzy wyryto tyle poddania się, wśród rysów wymęczonych boleścią.

— Ja tam już nie pójdę ojcze, do tego mieszkania, gdzie tyle dni strasznych, gdzie tę straszliwą noc śmierci przepędziłem. Ten skon okropny zostanie widmem snującem się zawsze przed oczami. Umierała tak przy mnie, śmierć tak zwolna zimną swą rękę kładła na nią, tak widomie. W jej oczach wielkich błyszczących na trupiej twarzy było tyle rozpaczy walczącej z pociechami wiary, a ja czując boleść, z całą świadomością pragnęłem tylko jej skonu, jak pragnęłem nieraz. Mroźna ta boleść nie mogła ustąpić nawet wspomnieniom miłości dawnej, wywołać łez gorących. Ona jakby trup żyjący z zagrobu jeszcze wyciągała rękę ku mnie. Umarła, jak umarło dla mnie wszystko, ojcze. Świat dla mnie grobem; nic, nic już nie mam, ostatnie bolesne więzy ze światem pękły...

— I został krzyż na mogile, dodał uroczy-

ście zakonnik, ukazując krzyżyk cmentarnej kaplicy, błyszczący w ostatnich promieniach słońca.

— Krzyż, świat nowy, od którego odwracałeś oczy, świat niezmierny do którego grób jest wnijściem.

Karol rozrzewniony spojrzał w ukazaną stronę, spojrzał jak rozbitek na maszt zbawczego okrętu.

— Chodź ze mną synu, mówił zakonnik, biorąc go za rękę, przy nas znajdziesz spokój i odżyjesz nowem życiem prawdziwem, wiecznem.

— Odżyję? powtórzył Karol. O tak ojcze Serafinie, ja czuję to, choć ciemność mnie jeszcze otacza. Czuję to, bo w twej celi ojcze zaznałem już chwilę tego spokoju, tej niebieskiej ciszy. One były mi jedyną pociechą i wytchnieniem wśród nędzy mego życia. Tyś mi ojcze dał pracę u siebie, która żywiła mnie i nieboszczkę. Przepisując wasze dzieła, wśród was przepędzając dnie, kosztując waszego życia, czułem że powstają we mnie przybite niewiarą wspomnienia dziecinne, budzą się pragnienia i myśli zapomniane. Bluźnierstwami swemi obrażałem was, bo duma kazała mi głuszyć w sobie te odgłosy, wyście pobłażliwie pracowali aby sprostować moje szaleństwa... Dziś ja chcę pracować nad sobą, aby błogi spokój wyższego życia odzyskać. Przyjmijcie mnie do siebie choćby na ostatnie posługi, dajcie żyć wśród siebie. Nicość ziemskiego bytu poznałem.

Skarzycki zamieszkał w klasztorze, który od jakiegoś czasu był mu głównym punktem oparcia, dzięki ojcu Serafinowi, co go swą opieką od pół roku przeszło otaczał i wspierał pomocą. Karol dostał tu celkę zakonną, trochę pracy, wiele samotności, ksiąg nabożnych, ciszę murów klasztornych, życie jednostajne jak przesypywanie się ziarn piasku w klepszydrze i codziennie godzinę rozmowy z ascetycznym ojcem Serafinem w czasie wieczornej przechadzki w cienistej alei ogrodu. Nowe życie jak słodki sen otaczało Karola wiejąc nań błogim chłodem spokoju. Gdy okwitną klasztorne róże, lipy przestaną brzęczyć pszczolną rzeszą, za młodym nowicyuszem zamknie się furta. Cóż mu już do świata.

Krzywdy wyrządzone ludziom i zaciągnięte długi mniej gniotą już Karola. Czyn oddania się Bogu zmaże winę przeciw rodzicom, krzywdę wyrządzoną społeczeństwu zmaże modlitwa i praca duchowna, wieczne szczęście u szczytu ziemskiej pielgrzymki czeka, przedsmak wieczności za życia, zmazane winy, zapomniane troski... Cóż mu już do świata?

Myśl początkującego ascety z tęsknotą zabiegała czasem do domku w Zawadówce. Rumieńce wstydu i żalu zakłócały spokój rozmyślań jego, bo wiedział już oddawna, że obelgę wyrządził przyjacielowi, że błotem rzucił na uczucie święte. Wraz z zabranemi niegdyś ojcu pieniędzmi zabrali listów bezimienny, który był początkiem jego nieszczęść. List był pisany ręką młodego Karpowicza. Rozmysł w cierpieniu ukazał Karolowi całą szkaradę jego niewdzięcznych podejrzeń. Listownie starał się przebłagać przyjaciela, potem gdy nie wiedząc co lepszego z życiem począć, rzucił się w wir krajowych zaburzeń, ocalił mu życie, czuwając nad nim zdala. Postać Heleny czasem zjawiała się w samotni Karola, wnet jednak przekształcał się w obraz niebiańskiej, czystej wybranki. Karol uciekał od ziemi, modlitwą zasłaniał się od pieszczących duszę pokus, jak i od trapiących serce wyrzutów, a matka niegdyś tak obojętna dla duszy syna, teraz stawała przed nią w blasku przewodniczki na świętej drodze.

Nad wieczorem księża w pustym prawie kościele, odśpiewywali psalmy, ich głosy pojedyńcze, to znów zbiorowe, łamały się wśród rozgłośnych sklepień, majestateczny organ odpowiadał głębokiemi tony. Jedynym prawie słuchaczem tej tajemniczej rozmowy był Skarzycki. Klęczał w ustronnej ławce wśród nawy kościelnej z czołem opartem o pulpit. Odgłos powolnych kroków po marmurze rozlegających się w ciszy i zbliżenie się kogoś co tuż przy nim stanął, zbudziło go z zadumy, ujrzawszy obok siebie sutannę księżą, odwracał już głowę niespojrzawszy nawet na twarz przybyłego, lecz ten zatrzymał się.

— Skarzycki! szepnął.

Głos był znany. Karol odwrócił głowę i w duchownym poznał Rożka, swego towarzysza pochulanek studenckich, arystarchę; tęgich głów szkoły i pierwszego kierownika swego na polu studenckiego liberalizmu. Jego twarz ospowata z cynicznym uśmiechem wypełniła się tylko bardziej, i nabrała ostrego wyrazu sztywnej powagi.

— Rożek! tyś księdzem? ze zdumieniem wyrzekł Karol.

— Jak widzisz Telemaku. Cyt! poczekaj chwilkę, szepnął przybyły. Po chwili odmówiwszy półgłosem modlitwę, skinął na osłupiałego szkolnego kolegę i wyszli na dziedziniec kościelny.

— Tyś księdzem, ty? powtarzał Karol.

— *Nil admirari!* Z podziwem swoim nie wyjedź że przypadkiem w obec którego z ojców, bo do nich mam interesa. Nie powinieneś się dziwić, albowiem powiedziano jest.... Mniejsza o to co powiedziano. Zostałem księdzem bo uważam stan ten za najwłaściwszy do zbawienia duszy i cielska, mówiąc nawiasem. Na każdego mój Telemaku drogi, przychodzi czas opamiętania.

Ale wracając do spraw doczesnych, mam do ciebie list zgadnij od kogo? List za który powinieneś dobrze się opłacić, list od mej owieczki jakkolwiek nie zbyt pokornej. Masz, nie będę cię dłużej trzymał w zawieszeniu.

Karol schwycił podane pismo, spojrzał na adres i zarumieniony od radości, wyrzekł:

— Od Zawady!

— Ha, ha, wyglądasz jakbyś odebrał jaki słodki bilecik; czytaj, nie będę ci przeszkadzać, powiedz mi tylko gdzie tu mieszkasz, (bo wiem że w klasztorze), to przyjdę do ciebie gdy się z ojcami ułatwię i pogadamy. Bernardyńską furę wiadomości przywiozłem a i od ciebie nie mało śpodziewam się usłyszeć, nawrócony grzeszniku. Do widzenia.

Karol ukrywszy na piersiach list, z biciem serca przebiegł korytarze, a wszedłszy do swej celki dopiero otworzył go ze wzruszeniem, czując ważność zawartych w nim wieści. Bojaźń i radość walczyła w piersiach Karola, ożywione wspomnienia, tłumy przewidywań i nadziei, zawrzały w nawykłym do spokoju jego umyśle. List Jana był krótki, możemy go tu w całości powtórzyć.

„Wdzięczność, pamięć na dawną przyjaźń naszę, sam obowiązek sumienia zresztą, nakazuje mi odezwać się do ciebie. Nie jestem pewny czy wieści o twych sprawach rodzinnych doszły do ciebie, ani czy te które o tobie powziąłem, są prawdziwe.

„Ojciec twój umarł rok temu blizko i na śmiertelnem łożu przebaczył ci wszystko, tobie i twej żonie błogosławił, a testamentem połowę majątku oddał. Tymczasem upewniano mię lubo wątpliwie, żeś zrzekł się wszystkiego na korzyść rodziny i klasztoru, do którego zamierzasz wstąpić.

„Jeżeli czujesz się już umarłym, jeżeli żaden obowiązek nieciąży na tobie, jeśli tylko egoistycznie spokojnego bytu pragniesz, lub obce nam dawniej cele masz przed oczami, żegnaj i wybacz mi mój głos niewczesny. Jeżeli jednak tak nie jest, wracaj i stań do pracy, boś tu potrzebny, bo pole leży odłogiem i chwast się na niem pleni. Wracaj powetować lata stracone jeżeli czujesz się silnym, jeżeli zmęzniałeś w nieszczęściach, ale na nikogo nie licz, *na nikogo* powtarzam. Jeżeli sam w sobie nie czujesz siły dostatecznej do dzieła, nie wracaj. Pojmujesz że zbliżyć się do ciebie nie mogę i nie powinienem. Pojmujesz jak obca pomoc, choćby najserdeczniejsza, jest niedołężnym środkiem. Być może kiedyś usunie się przegroda jaka nas dotąd i nadal oddzielać musi; tymczasem jestem twym przyjacielem z oddali. Radź sobie, w imię wszystkiego co ci święte jest, wzywam cię do tego."

— Ojciec umarł rok temu, ani wiedząc że się tu znajduję, oni rozporządzili moją osobą!

Te myśli całą siłą uderzyły umysł Skarzyckiego. Reszta listu była dlań tymczasem jak postronne grupy obrazu, gdy główna całą uwagę naszę zabiera, zabiera i zgrozą swą pogrąża w chwilowy letarg osłupienia. Karol przeczytał kilkakrotnie list. Owiał go duch świeży, czuł się ockniętym, zawrzało w nim życie pobudzone oburzeniem. Nadzieja w bojową trąbkę zagrała. Zdawało mu się, że jakaś duszność gniecie go. Chciał się porwać i jak więzień przy otwarciu bramy zawahał się i przeląkł świata. W roztargnieniu nie mogąc opanować swych myśli i wrażeń, oczekiwał na Rożka, aby mu ustnie dopełnił wieści zbyt treściwe. Mimo wstrętu jaki czuł do tego człowieka, jak do wszystkich co poniewierają szczytne posłannictwo, pragnął go widzieć. Kogokolwiek zresztą, byleby w zetknięciu się z człowiekiem wrócić do naruszonej równowagi myśli.

Rożek nie pokazał się więcej, ale natomiast do celi Karola wszedł ojciec Serafin.

— Ciężkie rozczarowanie, straszny zawód ojcze! zawołał z goryczą Skarzycki, podając przybyłemu list fatalny.

Zakonnik usiadł spokojnie i powolnie przeczytał list od początku do końca, a kiedy bez żadnego wzruszenia na martwej twarzy zwrócił Karolowi pismo i wpatrzył się w jego oblicze rozgorączkowane, wzrokiem chło-

dnym, przenikającym; ten poniewoli zatrzymał cierpkie słowa wymówek, ochłonął ze wzruszenia i czekać się zdawał wyjaśnień zmieniających stan rzeczy.

— Tak, rzekł ojciec Serafin, nie spuszczając oczu przed silącym się na wyzwanie we wzroku Karolem; w tym liście jest część prawdy, na nieszczęście przedwczesnej. Czy myślisz że wcześniejsze jeszcze objawienie rzeczywistego stanu twych stosunków majątkowych i rodzinnych podziałałoby zbawiennie na stan twej duszy, kiedy teraz jeszcze niebezpieczeństwo silne ci grozi? Tobie długiego jeszcze trzeba było spokoju. Ten twój przyjaciel krzywdę ci ciężką wyrządził bracie, nie wiem czy zdołasz złe skutki tej nie wczesnej wieści przetrzymać bez naruszenia zdrowia duszy, które dopiero ustalić się zamierzało.

— Ojcze! zawołał Karol zamykając uszy na spokojną logikę zakonnika, ja spostrzegłem w jak brzydkie ciało piękny duch się przyobleka.

— Byłbyś zdolny do nizkich podejrzeń! Tak nizko więc jeszcze stoisz! głosem godności odezwał się zakonnik, powstając zwolna. Synu, mimo całej powierzchowności i fanfaronady przebijającej się w liście twego przyjaciela ze świata, jest w nim myśl jedna głębsza niż sądził może piszący. Będziesz sam— pisze on, jeżeli nie czujesz w sobie siły do życia, nie wracaj. Czujesz że ty siłę taką? Czy czujesz ją?

— Ja wrócę, ojcze Serafinie?

— Krępować cię nikt nie będzie, gdy zechcesz, wrócisz. To coś zaczerpnął u nas niechaj ci będzie posiłkiem na drogę żywota. Ale namyśl się, módl się o oświetlenie ducha, wzmocnienie serca i namyśl się powtarzam, śpiesznie nie działaj, żebyś nie żałował po niewczasie.

X.

W Sękowicach na pozór nic się nie zmieniło. Ten sam dwór nad stawem wśród kępy bójnych drzew, taż sama wioska ciągnie się długim sznurem, taż sama włoska kaplica odbija w wodzie wieżyczkę swą i herb z dziewięciopałkową koroną. A jednak co zmian! Samemu już krajobrazowi coś brak, jakby dawnemu znajomemu bujnej niegdyś czupryny. To las wycięty. Gdzie dawniej czerniała zbita jego ściana, gdzie niegdzie tylko sterczą krzywe wysmukłe sosenki, jakby chatki mogilne ciągną się wśród nich ułożone symetrycznie sągi i powiewają dymy węglarzy.

Przyjrzawszy się bliżej okolicy dworu, dostrzegamy opustoszenie, czuć tu tchnienie ruiny. Droga zarosła trawą, staw porósł pleśnią, poobalane płoty, pouszkadzane i poobcinane drzewa; część zabudowań gospodarskich świeci pustką, część w opuszczeniu, w nieładzie nosi ślady jakiejś sennnej, niedbałej, pracy w biedzie i tymczasowości słomianej. Pola dokoła w ugorze... pusto, głucho tęskno. Sam dwór nie mniej opuszczony i obdrapany szponami czasu, a przecież dokoła niego znać świeże, naprędce dokonane przygładzenie spustoszeń. Dziedziniec wygracowany, kaplica obielona, powprawiane nowe szczeble do sztachet, okna dworskie tylko od boku pozamykane okiennicami na głucho, od czoła świecą świeżem życiem. Przed stajnią pare pojazdów wyprzężonych stoi, dokoła kręcą się ludzie nie tutejsi, a wyżeł elegant ze świecącą obrożą leży na świeżo wygracowanym dziedzińcu.

— Starsza pani niedawno powróciła aż z Rzymu podobno czy z Jerozolimy, powiada nam służba liberyjna i młodzi państwo zjechali tuż, bo przyjechał panicz co gdzieś daleko wojażował po świecie, a i goście teraz nie brak w Sękowicach.

Rzeczywiście w salonie znajdujemy dość liczne towarzystwo. Pani Skarzycka daje się wprawdzie poznać w majestatycznej pełnej pogodnej powagi matronie, zajmującej tu pierwsze miejsce, ale jakże odmienna od dawnej, uwieńczonej koroną cierpienia, zapoznanej ofiary! W czarnym żałobnym stroju, rozpromieniona prawie, obok siebie trzyma Karola, który z szacunkiem i serdecznością w zmężniałej smętnej nieco twarzy, nią wyłącznie prawie się zajmuje. Matka patrzy nań, z zadowoleniem i nie dziw, przyjemnie jej oczom spoczywać na pięknej postaci syna. Karol rzeczywiście pięknym jest mężczyzną, rysy jego choć mniej regularne nabrały charakteru, odwagi i skończoności; czoło podniosło się, miękki, gęsty zarost ciemny otoczył twarz, oczy zapadnięte nieco, łagodny głęboki mają wyraz. Budowa ciała wysmukła, ujęta w gustowny ubiór, ruchy umiarkowane, pełne godności. Pani Karpowicz siedząca obok Skarzyckiej, z właściwym sobie wdziękiem, od czasu do czasu wtrąca słówko do rozmowy między matką a synem. Iza, a dziś pani Izabella Karpowicz ze swym mężem Kostusiem niegdyś, przechadza się pośrodku salonu w towarzystwie młodej, strojnej, pełnej życia damy, nie Eglantyny, broń Boże, lecz nieznanej nam jeszcze przybranej kuzynki. Iza mimo wiek, wzrost, zmianę stanu nie zmieniła się. Drobna zawsze, sztywna, nieruchoma przesuwa się zwolna tak samo zupełnie jak przesuwała się ongi wśród kłąbów kwiatowych pod okiem nauczycielki, uśmiecha się bez wyrazu, mówi nie czując potrzeby mówienia. Towarzyszka jej blada, zdaje się być lekko zabarwioną woskową maską, użytą dla dopełnienia zawieszonego na manekinie stroju. Mąż jej za to zawiera w sobie wszystko to czego żonie brakuje. W postaci jego został wdzięk młodociany przy nabranej męzkiej sile. Naturalnie ufryzowana jego głowa porusza się z żywością w błyskotliwej pełnej dowcipu konwersacyi, którą zabawia żonę i jej towarzyszkę władającą zręcznie słówkami. Twarz jego ożywiona, pulchna, rumiana w miarę, zdobna zgrabnym wąsikiem i bródką, *pinz-nez*, szeroki śnieżny gors koszuli, frak z pąsowym gwoździkiem, stanowią całość elegancką, taktowną i poważną w potrzebie, która z prawdziwą przyjemnością musi być spostrzegana w zwierciadłach przez jej właściciela.

Przy bocznym stoliku ksiądz Inocenty gra w szachy z siwym otyłym mężczyzną w złotych okularach. Grupa siedząca na kanapie przyłączyła się do przechodzącej się po sali.

— Rozmawialiśmy właśnie o ulepszeniach jakie Karol zamierza poczynić w opuszczonych Sękowicach, rzekła pani Skarzycka.

— Ach Karolku, Syzyfowa praca cię czeka, zawołał młody Karpowicz.

— Od niezbędnych trzeba zacząć zmian, aby pobyt tu przynajmniej znośnym uczynić, odparła matrona.

— I nie dać się pochłonąć niszczącym wpływom natury, dodał Karol wesoło.

— Czyliż pan jest jej nieprzyjacielem? Wie pan, dla mnie Sękowice w tem opuszczeniu, właśnie mają jakiś urok szczególny, wtrąciła młoda, uśmiechnięta dama.

— Przez antytezę zapewne.

— Jeżeli państwo zgodzą się obejrzeć te ruiny, to wspólnie będziemy radzić i zachwycać się—wyrzekła p. Skarzycka. Pora jest piękna, a przyznam się żem jeszcze nie widziała naszej siedziby po powrocie. Smutny to będzie obraz, zwłaszcza gdy świeże mam w pamięci wrażenia z podróży...

— Tymczasem do towarzystwa przyłączył się siwy jegomość wraz z kapelanem i wszyscy wyszli na ogród. Aleje zarośnięte zielskiem, ledwie na dwie osoby obok przedstawiały miejsce, towarzystwo więc rozbiło się na pary.

— Karol postępował obok młodej damy, kuzynki Karpowiczów. Konstanty szedł z żoną, matka jej z owym jegomością w okularach p. Wenclem ojcem towarzyszki Karola, a pani Karpowicz z księdzem.

— Ogród zdatny chyba do założenia pustelni, mówi Karol mierząc oczami gęste sploty konarów. Towarzyszka jego zachwyca się cieniem majestatycznym.

— Żyć tu niesposób, woła Karol, to wszystko inny pozór wkrótce przybierze.

— Ach nigdyby pan nie zgadł jakie wspomnienia przyłączam do tego cieniu, z uśmiechem mówiła dama, zwracając na Skarzyckiego swe oczy czarne i kwitnącą twarzyczkę, okraszoną uśmiechem. Pamięta też pan ten las, te ogniska. Jakim ja dzieckiem byłam wtedy. Wstyd mi mego trzpiotarstwa. Oboje byliśmy jednakowi; pamięta pan jak nas cyganiętami nazywano?

— Tymczasem cyganką została tylko kuzynka Kamila, wtrącił idący w tyle Kostuś. Karol by pewnie nie skakał już przez ogień, a kuzynka kto wie, gotowa...

—O! bardzo proszę! powaga przychodzi z laty.

— Ja bym sądził — mówi pan Wencel do pani Skarzyckiej — że nie należy okazywać pośpiechu z odebraniem dzierżawy Sękowic.

— Ach, Karolowi tak pilno zacząć czynne życie, opuszczenie tak go dręczy.

— Cierpliwość przedewszystkiem. Dzierżawca o ile mi się zdaje ustąpić musi bo bardzo źle stoi, odstępne zniży o połowę albo i więcej. Czasy są krytyczne a jego wymagania to zdzierstwo prawdziwe.

— Alboż ludzie mają sumienie, westchnęła pani Skarzycka.

— Nie wierzy pani hrabina jak rad jestem z tego, że w porę pozbyłem się tych kłopotów gospodarczych, ja bym już nie wydołał przy teraźniejszym stanie rzeczy.

— Karol ma tyle zapału, z takiem przeję-

ciem bierze się do pracy. Całą bibliotekę agronomiczną ma już u siebie, pracuje nad książką nie mogąc na roli pracować.

— Aby tylko nie zanadto, uśmiechnął się pan Wencel. O! pan Karol ma zbyt wiele zdrowego zdania, aby się dał unieść gorączce postępowej wiem o tem. Młody powinien pracować, człowiek co przeszedł tyle złego w świecie potrafi żyć, jestem najmocniej przekonany.

Pani Skarzycka z pewną poufnością szepnęła coś jegomości w złotych okularach, ukazując końcem wachlarza na młode pary idące przodem, pan Wencel uśmiechnął się znacząco.

— W którem że miejscu zamierzacie państwo zbudować galeryjkę do kaplicy, zawołała starsza pani Karpowicz.

— Karolu, wszak tędy najwłaściwiej byłoby galeryjkę przeprowadzić! wyrzekła głośniej jego matka.

Towarzystwo zatrzymało się.

— Tak mamo. Półkolem tędy skreśli się ją. Tu kląby kwiatowe zajmą oczyszczoną z drzew przestrzeń...

— I stanie statua zamówiona przezemnie w Rzymie, dodała pani Skarzycka. Śliczny z galeryi będzie widok na staw, nie prawdaż?

— Czy nie lepiej by było ustawić statuę na tej wysepce na stawie, wtrąciła panna Kamila. Mostkiem wiszącym połączyć ją...

— Piękna myśl zawoła Skarzycka, jakież zdanie państwa?...

Po chwili planów, Karol ożywiony mówił dalej:

— Część galeryi będzie oranżeryą, przytykać będzie do buduary mamy i ciągnąć się do połowy długości całej galeryi.

— To ze wszystkiego najlepsze, wołała mama. Ja przepadam za kwiatami! Wreszcie ze smutkiem wyrzekła: widok z galeryi. kwiaty przed nią, dla mnie będą stracone. Na zimowe miesiące które tu będę przepędzać, mieć tylko będę zaciszny *pasaż* do kaplicy. Kwiaty w nim będą prawdziwą moją rozkoszą. To mówiąc, pani Skarzycka z wdzięcznością złożyła pocałunek na czole syna.

— A drugiego synka mamusia nie popieści? zawołał Kostuś, zbliżając się i z wdziękiem całując jej rękę.

Obaj jesteście moją pociechą prawdziwą, zawołała czule Skarzycka, dzięki za was Bogu składam gorące.

Scena była nadzwyczaj rzewna.

Potem rozmawiano o upiększeniach ogrodu, obmurowaniu części stawu; odbyto przejażdżkę po polach i folwarkach pojazdami i konno, możnaby dużo pięknych rzeczy naopowiadać o tem, jak piękną amazonką była Kamila, jak dziarsko towarzyszyli jej młodzi panowie, ile narzekano na niedbalstwo dzierżawców, złe czasy, jak Karol najlepszej otuchy dodawał zamiarami i zapałem swoim w tem wszystkiem — chociaż osobistość jego dość zagadkowo się przedstawia i trudno dociec jakim on jest w istocie, co zamyśla, co knuje? Stańmy w obronie czystości jego zamiarów. Skarzycki nic nie kryje; uczucie sprzeczne z harmonją jego duszy, gnieżdżące się uparcie gdzieś na dnie. radby wytępić do szczętu i z rozpogodzonym czołem w zgodzie z sobą, ze światem, z okolicznościami stanąć do życia bez wewnętrznej rozterki. Z odrodzonym duchem, pragnie kochać i wierzyć, zapomnieć i przebaczyć, jak jemu przebaczono i zapomniano, ostateczności zjednać, ustępstwami okupić swobodę i działać w zgodzie z sobą i światem. Takiemi uczuciami ożywiony, nie dziw, że zyskał serdeczne przyjęcie ludzi, którym był dotąd obcy lub nieprzyjazny. Matka ze łzami przywitała go przybywszy na tę uroczystość z daleka, rodzina szczerze czy nie szczerze, lecz z życzliwością podała mu rękę, a pan Wencel, niegdyś sąsiad ojca, prawnik a obecnie opiekun szlachetnej wdowy, człowiek obeznany z interesami Skarzyckich, ofiarował się Karolowi za pośrednika w uregulowaniu majątkowych stosunków. Wszystko załatwiono zgodnie i przykładnie, zamiast zatargów zaszła prawie walka na wspaniałomyślność, do której młody dziedzic największą wysunął stawkę. Plany i projekta Karola nie ograniczały się bynajmniej na upiększeniu dworu, ogrodu, zbudowaniu galeryi do kaplicy, restauracyi kościoła wiejskiego i t. p., które raczej przez miłość dla matki, przedsiębrał. Podniesienie gospodarwa w rozmaitych kierunkach, oświata ludu, obywatelska działalność, były istotnemi celami Skarzyckiego, lecz niestety wszystkie zacne jego chęci rozbijały się o twardy szkopuł, o brak kapitału, brak kredytu, stagnacyą stosunków krajowych.

W tak smutnym stanie rzeczy, czas schodził nieznacznie. Karol wyrzucając sobie bezczynność, pracował tymczasem w swym gabinecie, rozczytując się w dziełach specyalnych, kierował drobnemi robotami około dworu. Prowadził interesa, obznajmiał się z ich smutnym stanem, kreślił plany, większą jednak część czasu pochłaniały mu towarzyskie obowiązki. Wchodził w rodzinne stosunki, robił wizyty w sąsiedztwie, przyjmował z matką dość częstych gości, a w chwibach samotnych, stroskany obezwładniającemi trudnościami położenia, szukał w modlitwie natchnienia a może pomocy...

W piękną noc zimową zatętniła przed gankiem dworu para dziarskich koni, zaprzężona do lekkich saneczek. Jeszcze nie uspokoił się brzęk janczarskich dzwonków, gdy Karol wbiegłszy do sieni, zrzucając futro na ręce służącego, zapytał pośpiesznie:

— Czy pani nie śpi jeszcze?

— Nie—kazała powiedzieć, że czeka na jaśnie panicza.

Karol pobiegł natychmiast do buduaru matki. Przy mlecznem świetle lampy pani Skarzycka w białym negliżu, wsparta na klęczniku zdawała się być zatopioną w modlitwie. Na odgłos śpiesznych kroków syna odwróciła głowę. Syn przypadł do niej i wzruszonym od radości głosem zawołał:

— Matko! zostałem przyjęty! Kamila będzie moją, wyznała mi że mię kocha, ojciec nas pobłogosławił! Tak, jestem szczęśliwy matko, tak szczęśliwy! Ze łzami radości całował rękę matki jakby jej za swe szczęście dziękował.

Matka powstawszy, przygarnęła go do swych piersi.

— Bogu niech będą dzięki, że moim pragnieniom zadość się stało. Twem szczęściem niemniej jestem szczęśliwa. Widzisz! Wzdragałeś się, jakieś uczuciowe skrupuły cię krępowały, zdawało ci się, że jej nie kochasz tak jak powinieneś kochać przyszłą towarzyszkę życia, że interes zbyt wielką gra rolę w tym związku. Interes jest wymagniem światowem, które chcąc nie chcąc szanować trzeba, a uczucie... Człowiek sercem niebu oddany nie powinien całego uczucia poświęcać ziemi. Jeśli Kamili brak podniosłości duszy, jej czyste serce, jej dobroć, bogobojność odziedziczona po matce, wszystko zastąpią. Piękna jest, pełna wdzięku. Zaręczam że teraz już daleko więcej masz dla niej uczucia, nie czułbyś się tak szczęśliwym inaczej?

— Tak matko, mówił Karol siadając przy niej, czuję dla Kamili coś więcej nad życzliwość, wdzięczność i ten żar jaki budzi piękność kobieca. Osoba która w każdem słowie, wejrzeniu tyle serca okazuje, która z taką ufnością oddaje się nieznanemu człowiekowi, mogącemu dawniejszem swem życiem wzbudzać obawy, osoba taka mówię, zobowiązać musi choćby najchłodniejsze serce.

— Ona taka dobra, tak podobna do swej nieboszczki matki, wtrąciła pani Skarzyczka. Jestem pewna, że będziesz z nią szczęśliwy.

— Wierzę w to matko! Godziż się przypuszczać, że tam pod polorem powierzchownym i wdziękiem nic nie ma? Nie słuszniej że wierzyć, że dusza niezbudzona do prawdziwego życia czynu, dusza uśpiona w cieplarni salonu zbudzi się równie piękna jak ciało, równie pełna świeżości i życia. Jestem szczęśliwy matko! Wreszcie pomoc jaką ona wniesie mi, na wspólne nasze dobro użyta będzie, rozwiąże mi ręce, posłuży do urzeczywistnienia moich pragnień. (d. n.)

Odesa, d. 30 maja 1876 r.

Wraz z karnawałem skończyły się u nas przedstawienia teatralne i wszystkie zabawy z wyjątkiem cyrku Sobboty, który w ostatnich dniach marca n. s. pozbawił zwolenników hippiczno-horeograficzno-mimicznej muzy rozkoszowania się Piękną Heleną, przeniesioną żywcem na cyrkową arenę i wielu podobnej wartości utworami, przezabawnie wyglądającemi, gdy zostały odarte z dowcipnego libretta i wesołej muzyki. Jego miejsce zajął cyrk Leonarda.

Czego rzeczywiście należy żałować, to rozproszenia ruskiej trupy, dającej w tegorocznym zimowym sezonie przedstawienia w Odesie. Towarzystwo to, utworzone przez bogatego krymskiego abywatela, kamerjunkra Gałachowa, odznaczało się takim personalem i doborem repertuaru, że za wzór mogło służyć wszystkim prowincyonalnym dyrekcyom. Prawda, że p. Gałachow nie tylko nic nie zarobił, lecz kilkadziesiąt tysięcy rubli dołożył ze swej kieszeni, lecz dla takiego magnata amatora niewiele to znaczy, gdy wzamian uniósł ze sobą to moralne zadowolenie i przekonanie, że Odesa do tej pory nie miała tak znakomitej w swych murach trupy dramatycznej, jaką on ją obdarzył.

Jak nieraz wam pisałem, Odesa jest przedewszystkiem olbrzymim żydowskim kramem. Gdy więc handel się zachwiał, całe miasto zadrżało w swych posadach. Nic więc dziwnego, że teatr ruski pomimo kilkunastu przedstawień Samojłowa, najsławniejszego dziś w Rossyi aktora, umyślnie zaproszonego do Odesy; pomimo udziału w towarzystwie pani Glebowej, która furorę robi w Petersburgu, poniósł straty. Tem mniej dziwnem, że znana Warszawie panna Emilia Keller, uciekła przed wierzycielami z Odesy do Jast, pomimo nadludzkich usiłowań, jakiemi starała się zwabić publiczność do francuzkiego teatru. Nie pomogły jednak i urozmaicone widowiska, najświeższe offenbachjady i lekokjady, najbogatsze kostiumy sprowadzane z Paryża dla każdej nowej operety, przewyborny komik Mesmacker i barczysty a krępy tenor Durocle; niepomogła zawsze frenetyczne wywołująca oklaski i nigdy niestarzejąca się p. Keller, od lat tylu czarująca odeskich kramarzy słowiczym głosem i drastycznemi gestami, teatr francuzki zrobił krach!

Pomimo więc świeżo wydanego rozporządzenia rządu, zezwalającego na sceniczne widowiska w czasie wielkiego postu na prowincyi, co dotąd było zabronionem—Odesa nie ma i zdaje się nie prędko ujrzy porządne dramatyczne towarzystwo w swych murach.

Kto zresztą teraz myśli dusić się w sali teatralnej: gdy na dworze mamy przecudną wiosnę, gdy skalisty brzeg morza wabi na przechadzkę, gdy trawa zaczyna się zielenić; a morze pod wpływem wiatru i pogody, jak kameleon zmienia swe barwy i rozbijając spienione fale, o nadbrzeżne skały, usposabia do marzeń nawet najrealistyczniejsze stworzenie, jakie jest pod słońcem, odeskiego mieszkańca.

Ten czciciel mamony i złotego cielca nie umie jednak i marzyć patrząc na ciemne głębie morza inaczej, jak licząc wiele parostatków przesuwa się po tych falach i czem są naładowane a więc ile procentów na nich zarobi jutro. Przechadzając się w Langeronie, ulubionej willi nad brzegiem morza, należącej do hr. Grocholskiego i zasianej letniemi mieszkaniami, odesista marzy za jaką też cenę wydzierżawią na tegoroczny sezon prawo wpuszczania publiczności dla słuchania muzyki i kąpania się w morzu, i po czemu będzie porcya świeżego powietrza. Z litością spoglądając na pewne udogodnienia, które dzierżawca na swój koszt urządza, oblicza, że przedsiębierca może stracić pieniądze i opinię...

Siadajmy teraz pod werendę cukierni znajomych nam z Warszawy pp. Semadeni et Fanconi. Są tu wszystkie dzienniki, orzeźwiający chłód fontanny bijącej w środku obszernej werendy, dobra usługa i gbyby nie podwójna w stosunku do warszawskich cen kredka, możemy zapomnieć na chwilę żeśmy dawno już wyjechali z naszej biednej lecz wesołej Warszawy.

„Nowo-rosyjski Telegraf“ i „Odeski Wiestnik“ leżą na jednym stole i o! dziwo, dotąd się nie pożarły wzajemnie. Już to przyznać trzeba, że, dzienniki te daleko przyzwoiciej ***wyglądają***, niżby można się spodziewać, ***słysząc*** tylko czytaną przez kogoś głośno ich treść. Gdybym nie widział tego wielkiego arkusza, chcącego imponować formatem petersburskim gazetom; tego porządnego druku; gdybym nie widział w jakiem ucywilizowanym towarzystwie Figarów, Constitutionelów, Pressów, Kuryerów Warszawskich, Gazet Polskich, Gołosów; na jakich eleganckich, politurowanych kijach; w jakich urękawicznionych rękach znajdują się tu gazety —przysiągłbym czytając je, że to najbrudniejsze paszkwile z pomyjnych rynsztoków wyciągnięte i zabazgrane ludźmi, którzy zamiast pisać, powinniby naprzód nauczyć się pierwszych prawideł przyzwoitości, i zacząć na nowo swe wychowanie.

Że w Odesie, przekupstwo jest na porządku dziennym, temu się nie ździwicie. Lecz ażeby występowało tak cynicznie, jak w samochwalnej działalności najznakomitszego tutejszego publicysty, piszącego feljetony do „Nowo-roryjskiego Telegrafu“ pod pseudonimem barona Iksa, to trudno dać wiarę, niedotknąwszy się z blizka tego zjawiska. Baron Iks., pracował aż do Nowego roku w Odeskim Wiestniku, i nie miał słów na dyskredytowanie, wymyślanie, ale to w najlepszym gatunku, nicowanie Nowo-rosyjskiego Telegrafu. A że nie brak temu feljetoniście zdolności, chociaż w umyśle jego to groch z kapustą pomieszany, Nowo-rosyjski Telegraf, potargował i kupił go sobie od 1 stycznia 1876 roku. Od chwili, w której ugoda stanęła, nie ma żółci, jadu, złośliwości, szkalowania, brudu, którychby pan Iks nie wyzionął na Odeski Wiestnik. Nie sądźcie przytem, by walka tych dwóch dzienników, przynajmniej upozorowaną była jakąś walką pojęć, idei, niezgodą w jakichś najżywotniejszych dla tutejszego krajuw kwestyach, gdzież tam. Więc żaden z nich nie ma żadnego kierunku wprost, bezogrodki wymyślają sobie, pragnąc jeden drugiemu odciągnąć trochę prenumeratorów. Walka o byt, w całej jej ohydnej nagości. Na próbkę wyjątek z ostatniego feljetonu barona Iksa:

„Baran, miedziane czoło, idyota,“ tak teraz nazywa mnie, woła p. Iks, „Odeski Wiestnik.‘ Ja dziś pragnę dowieść „szanownej publiczności,“ że jeżeli w dziennikarstwie takie wymyślanie ma prawo obywatelstwa (jak się wam to podoba?), to niewolno go używać baranom, miedzianym czołom i idjotom.

I dopiero cały, ogromny feljeton, pod pozorem rozbioru feljetonu Szczedrina w „Otiecz. Zapis,“ dowodzi jak na dłoni, że nie baron Iks jest baranem, miedzianem czołem i idjotą, lecz kolega jego dawny z Odeskiego Wiestnika.

Za dowód służy to, że feljetonista Odeskiego Wiestnika, nie tak zrozumiał feljeton Szczedrina w „Otiecz. Zapiskach,“ jak go zrozumiał p. Iks. Najznakomitszem z tego wszystkiego jest to: że dla publicystów Odesy studyowanie, wyraźnie studyowanie feljetonów pism stołecznych, jest niemało ważnem zadaniem dziennikarza, pracą wielkiej wagi dla społeczeństwa i cywilizacyi!...

Nie! Ten feljeton do reszty popsuł mi humor. Nie mam już ochoty i do statystycznych cyfr wywozu pszenicy, które mogłyby oznaczyć o ile handel upadł w Odesie od lat paru; nie obchodzi mnie już przerażająco-zwiększający się z każdym rokiem deficyt kolei Odeskiej (najokropniejszej kolei, jaka kiedykolwiek od chwili wynalezienia pary była zbudowaną); wojownicze nawet doniesienia z bałkańskiego półwyspu, zostawiam na potem, pragnąc czemprędzej wyrwać się po za mury miasta, gdyż pogoda nakoniec po paru tygodniach zimna, znów w całej pełni zajaśniała i upały do dwudziestu kilku stopni dochodzą.

Na dziś, celem mojej wycieczki, w której względny czytelnik zechce może mi towarzyszyć, będzie osada nadmorska Wielki Fontan, o parę godzin drogi odległa od Odesy, i godna uwagi z powodu latarni morskiej, jednej z większych w Europie, tam się wznoszącej.

Wehikuł zwany „liniejką,“ rodzaj omnibusu, zabiera całe nasze towarzystwo, złożone po większej części z Podolaków. Jest nas i z Warszawy czterech, w tej liczbie dwóch adwokatów, nie damy się więc zjeść w kaszy. Zapasów śpiżarnianych mamy huk, ba i cały kosz wina besarabskiego, czystego, nie fabrykowa nego à la Bordeaux, lecz za to smacznego i taniego po 20 kop. butelka. Majówka będzie *cudowną!* jak powiada kolega Dzięcioł, pieczętujący się zapomniałem jakim herbem i znający wszystkie poetyczne nazwy kwiatów w arystokratycznym, angielskim języku. Mój sąsiad p. Kazimierz, nie może wyobrazić sobie, że woźnica tego wehikułu nie jest żydem z Muranowa, lecz dobrym chrześcijaninem i przeklina żydowskie odeskie liniejki. Profesor M., najspokojniej zabiera się wśród turkotu i trzęsienia, wśród śmiechu i wesołego gwaru do czytania głośno Mickiewicza. Obawiam się by mu pierś nie pękła, a żaden z nas nie jest lekarzem. Zabieramy po drodze jeszcze jednego towarzysza, który wymawia się, że będąc b. studentem kijowskiego uniwersytetu, musi być dziś wieczorem na zebraniu jakie będzie miało miejsce w Hotelu Europejskim, na którem ostatecznie ma być wygotowaną ustawa projektowanego „towarzystwa kijowskich studentów,“ lecz nic nie pomoże, obiecujemy mu wczesny powrót i jak śledzia pakujemy do liniejki. Nakoniec jesteśmy za miastem. Przejeżdżamy pomiędzy willami, po większej części pięknie i zbytkowo budowanemi, lecz ubogą roślinnością otoczonemi. Mijamy mały i średni Fontan, zatrzymujemy się przy drodze, obok prześlicznego żyta, które wkrótce już dojrzeje, dla rannego posiłku, nakoniec przybywamy na Wielki Fontan.

Śliczna ta miejscowość, winna zapewne swą nazwę ogromnej studni, z której wodę pompowano za pomocą konnego maneżu—do dziś dnia znajdująca się tam, lecz nieużywalna, od czasu sprowadzenia dniestrowej wody wodociągami aż do Odesy. Mnóstwo białych will i domków rozrzuconych w pagórkowatej miejscowości i wynajmowanych na letni sezon; klasztor prawosławny, niby restauracya, szynk i latarnia morska, o to i Wielki Fontan.

Dla nas najwięcej ma powabu latarnia, rozkładamy się więc u jej podnoża obozem—i po morskiej kąpieli i posiłku, idziemy ją zwiedzać. Dzięki uprzejmości nadzorcy oficera marynarki, mogliśmy przypatrzeć się całemu urządzeniu.

Na dole w budynku parterowym umyślnie w tym celu wzaniesionym, znajdują się dwie maszyny porowe każda o 10 siłach koni, które działają pojedynczo. Druga jest tylko w re-

zernie, gdyby pierwsza potrzebowała naprawy. Siła 10 koni jest tu zbyteczną, albowiem maszyna 5-cio konna dałaby też same rezultaty. Wielkie koło maszyny, za pomocą pasa bez końca jest skomunikowane z kołem znajdującym się u góry ściany, które znów za pomocą takiegoż pasa, przez otwór ściany ma związek z maszyną elektro-magnetyczną systemu Nolla. Maszyn tych jest dwie, gdyż z powodu szybkiego obrotu cewek, (wynoszącego 360 razy na minutę, gdy koło parowej maszyny obraca się tylko 80 razy na minutę) często je trzeba zmieniać, gdy się zbyt rozegrzeją. Maszyna Nolla komunikuje tedy pręd elektryczny dwóm drótom miedzianym, które z tego pokoju idą w głąb podłogi, a następnie przechodzą do wieży latarniowej, na wierzchołku której dwa kawałeczki węgla umieszczone na dwóch końcach drutu oddalonych od siebie o 2 - 3 milimetry, przedstawiające elektryczność dodatnią i ujemną, dają iskre elektryczną oświecającą latarnię.

Przepyszne jest urządzenie przyzmatyczne osłony. Pryzmaty idą stopniami, w ten sposób, że światło zamiast rozpraszać się w przestrzeni, działa poziomo, całym snopem i tym sposobem oświeca morze na 18, przy pięknej pogodzie na 24 — 30 mil morskich (mila morska 1 3/4 wersty). Polerowane srebrne zwierciadła służą jako reflektory od strony lądu. Latarnia jest wzniesioną nad poziomem morza 198 stóp.

Nasyciwszy się przepysznym widokiem — wracamy wesoło do miasta, by nazajutz znów zacząć codzienną, jednostajną pracę, przerwaną przez tę wycieczkę, która orzeźwiła nas i obmyła z tego pyłu miejskiego, który i wam zapewne w Warszawie już dobrze uczuć się daje.

Henryk Filipowicz.

HURTOWNICY AMERYKAŃSCY.

(PRZEKŁAD Z ROSSYJSKIEGO.)

(Dalszy ciąg).

W czasie niepogody okienko to, na dymnik przeznaczone zakrywa się skórą, a dym odchodzi sobie szczelinami po przez ścianki namiotu. Żeby woda w czasie deszczów nie dostawała się do środka, na wierzchnie pokrycie nakładają wszystkie skóry z zabitych zwierząt jakie się tylko znajdują.

Często pod ciężarem tych skór uginają się pale, opuszcza się dach ku ziemi i grozi upadkiem na głowy mieszkańców.

Jak zewnętrzny pozór mieszkania tak i jego skład wewnętrzny wymownie świadczą o obojętności i lenistwie mieszkańców. Nie dbają oni o żadną wygodę, nie posiadają żadnych zgoła mebli, a parę pieńków drzewa lub kilka czerepów wołowych, służy im do siedzenia i najzupełniej wystarcza.

Stosy skór niewyprawnych zastępują pościel, a jadło przygotowywa się w zabrukanym kotle podróżnym. Wszystko w namiocie pokryte jest sadzą, nigdy się bowiem nie zamiata, więc na glinianej podłodze pełno kości poobgryzanych i wszelkiego śmiecia.

W ciasnym szałasie do któregośmy dotarli, gnieździła się rodzina gospodarza, z żony mulatki i dziesięciorga dzieci złożona; najstarsze dziecko mogło mieć lat około 14, a było przytem około 40 strażników, meksykańczyków i metysów, i ogromne stado psów.

Łatwo sobie wyobrazić jakie miłe w tem gniazdku powietrze. Gdym wszedł, wyskoczyłem co tchu z powrotem na świeże powietrze i następnie, nie zdecydowałem się już nigdy zajrzeć do wnętrza mieszkań podobnych, przekładając ogrzewanie się przy ognisku i spanie pod gołem niebem, bez względu na stan pogody.

Muszę tu zanotować że dotąd owe skórzane szałasy zn łem tylko po wierzchu i to z pewnej odległości. Powodem ku temu była ta okoliczność że biali w ogóle zachodzą do tych namiotów, tylko w wypadkach nadzwyczajnych, i że handel z czerwono-skóremi prowadzi się przy pomocy pewnych sposobików i podstępów, zgodnych z charakterem i nawyknieniem tych na półdzikich właścicieli.

Będąc poprzednio pod kierunkiem dwóch doświadczonych pionierów w kilkunastu stanicach, łatwo się obznajmiłem ze sposobikami temi, więc nauczyciel mój uznał za rzecz możliwą powierzyć mi zakup na stepie, sam zaś z tem co było odjechał do Stanów.

Nie mogłem się odważyć na prowadzenie transportu wśród miejscowości wcale mi nieznanych, więc zaprosiłem na pomocnika, mego starego przyjaciela, strażnika tatuowanego Piotra, zleciwszy mu najem ludzi do pomocy, obranie najwłaściwszej drogi i cały w ogóle gospodarczy zarząd transportu.

Osobiście zastrzegłem tylko sobie głos doradczy w czasie podróży i decydowanie co do tego jak długo na jakimś przystanku zatrzymywać się mamy. Piotr nie raz już sprawował obowiązki podobne, to też pierwsze zaraz przygotowawcze jego rozporządzenia, przekonały mnie żem trafił jak nie można lepiej.

Dobrawszy co najzręczniejszych strażników i starych sumiennych przewodników, Piotr pod urokiem sławy doświadczonego rycerza pustyni, odrazu dobrze się postawił względem podwładnych swoich i karność zaprowadził surową.

Krótko i jasno wydawane polecenia, miały w sobie tak coś stanowczego, że o niespełnieniu ich natychmiastowem, nikomu przez myśl nawet nie przeszło.

Urządzając transport, Piotr dał także dowody zręczności swej i doświadczenia, zaopatrzywszy się w mnóstwo przedmiotów, o których nikt inny aniby pomyślał nigdy, a które jednak w czasie drogi znakomite oddawały nam przysługi.

Dzięki rozsądkowi i energii Piotra, w partyi naszej panował wzorowy porządek, a nieład jeżeli wkradł się nareszcie, wina to okrutnej pogody. Ale gdy tylko ustawała zawierucha, gdy tylko z trzęsawisk na nieco lepszą dostawaliśmy się drogę, Piotr bez mozołów wielkich przywracał ład poprzedni, każdemu furgonowi wskazywał właściwą drogę i znów było wszystko jak najlepiej.

Nie potrzebując myśleć tedy o transporcie, mogłem przy pomocy dwóch umyślnie ku temu celowi wynajętych mulatów, zająć się handlem zamiennym z właścicielami stad.

Dowiedziawszy się o stanicy, udawaliśmy się do niej, zatrzymywaliśmy się w odległości 3 do 4 mil, rozbijali namiot i posyłaliśmy jednego z mulatów zawiadomić właściciela bydła, że posiadamy towary, potrzebne dla mieszkańców stepu, i że możemy te towary zamienić na bydło.

Poseł wracał zazwyczaj z oświadczeniem: że nie potrzebują tu żadnych towarów, bydła na sprzedaż nie mają, a zapas lin, ubrań i t. p. zakupili na nadzwyczaj wygodnych warunkach, od niedawno przejeżdżającego kupca.

Wiedzieliśmy aż nadto dobrze, że w miejscach tych z dawien dawna nie postał żaden kupiec i że skłamano najbezczelniej przed delegatem naszym, to też nie biorąc do serca odmowy, rozwiązywaliśmy tłomoki, dobywali ubiory z najjaskrawszych przygotowane materyj i korzystając z pogody rozwieszaliśmy je niby dla przewietrzenia i wysuszenia na linach przeciągniętych pomiędzy furgonami. Następnie puściwszy na paszę bydło, lokowaliśmy się jak można było najwygodniej i czekali cierpliwie....

W dwie godziny jakie potem, obok naszego obozu znalazł się zwykle jeden ze służących właściciela bydła, i objechawszy nas zwolna wracał do domu z powrotem.

Po niejakim czasie kręcił się koło nas drugi znowu wysłaniec albo kilku naraz nawet.

Chociaż udawali wszyscy że jadą niby za swoim gdzieś interesem, że obecność nasza nic a nic ich nie obchodzi, chociaż udawali powiadam że nie patrzą nawet w naszę stronę, obserwowali jednak dobrze i liczbę furgonów i ilość bydła i liczbę ludzi naszych, a przedewszystkiem kolorowe, ba i jeszcze jak kolorowe stroje! Już to wzrok mają sokoli ci ichmościowie stepowi i dokładnie potrafią ocenić zdala ile jest tłomoków na furgonach, jak dużo towarów, ile go już zbyto i ile jeszcze pozostało do zbycia.

Obojętną było dla nas rzeczą do jakich wniosków dojdą ci obserwatorowie nasi, wystarczało nam aby jaskrawe kolory ubiorów wpadły im dokładnie w oko. Jeżeli stroje te nasze nie przypadły do gustu i jeżeli pod wieczór nie zgłosił się do nas właściciel stanicy, to znów pchaliśmy doń mulata niby po zakupienie mleka na kolacyą. W tym wypadku mulat zabierał pod siodło nowy ubiór i nowy zarzucał na plecy. Zostawiając broń swoję w obozie, zabierał z sobą nowiuteńki karabin, błyszczący nie używany wcale, zabierał też nowiuteńki rewolwer i topór. Widok jaskrawego ubioru i błyszczącej broni, stanowiąc rażącą różnicę z brudnemi łachmanami czerwonoskórych, robiły skutek nadzwyczaj dobry,

Poprosiwszy o mleko i wlawszy je w przywiezioną z sobą baryłeczkę, mulat nie dając poznać iż zauważył wrażenie jakie strój jego wywołał, dowiaduje się o cenie mleka i proponuje pieniądze. Gospodarz stosownie do przyjętych tu zwyczajów, odmawia ma się rozu-

mieć przyjęcia pieniędzy, bo sprzedaż mleka uważa za rzecz karygodną.

Mulat przedewszystkiem trzyma się przy swoim a gdy pieniędzy przyjąć nie chcą, nie chcąc ze swej strony pozostać dłużnym, ofiarowywa w zamian gospodarzowi lub komuś z jego rodziny strzelbę, albo ubranie i powraca do obozu.

Podarek ofiarowany jednemu z półdzikusów, obudza w innych gwałtowną żądzę nabycia czegoś nowego. Plan pierwotny, mając na celu przetrzymanie przyjezdnego kupca i zmuszenie go do jak najtańszego oddania towarów, wydaje się już teraz niecierpliwym, zupełnie nierozsądnym i władza gospodarza nie jest już w stanie zapanować nad ogólną niecierpliwością. Siedząc w obozie, my tymczasem najspokojniej wyczekujemy na następstwa dyplomacyi naszej. Zwykle na następstwa te wcale nie długo czekać przychodzi. W jaką godzinę po powrocie mulata, zjawia się posłaniec konny od właściciela stada. Z początku jedzie on wolno, im bliżej obozu tym podąża szybciej i nareszcie w całym galopie ku nam cwałuje. Zeskoczywszy z siodła i rzuciwszy okiem na rozwieszone ubiory, zaczyna z nami rozmowę. Wypytawszy jak dawno wyruszyliśmy z domu, odpowiedziawszy na nasze zapytania co do pastwisk i wypiwszy szklankę wisky, przybyły zaczyna ostrożnie wywiadywać się o naszych warunkach handlowych a przedewszystkiem, jak długo mamy zamiar pozostać w tem miejscu.

Odpowiedzi nasze niezbyt jasne każą mu się domyślać że mamy zamiar jutro koło południa puścić się w dalszą drogę, rozdawszy przedtem ludziom nowe ubiory, w zamian tych jakie podniszczyli w ciągu podróży.

Za tym pierwszym gońcem przybywa kilku innych. Sami już ci wysłańcy nie mają często dość mocy by przezwyciężyć palącą ich ciekawość, rozglądają się więc w towarach, z chęcią niby wyszukania jakiejś przygany.

Nie żałując dla gości wisky i prowadząc z nimi rozmowę, łatwo się dowiedzieć jaką mają liczbę bydła do sprzedania i jakie towary są im najbardziej potrzebne.

Ugościwszy przybyłych i naprawiwszy im cudów niestworzonych, tak iżby całą noc przynajmniej mieli co za powrotem opowiadać, można być pewnym że się interes na pół przeprowadziło.

Nazajutrz o świcie do obozu dolatują nawoływania strażników, strzelanie z biczów, ryk i chód ogromnego stada.

To pasterze pędzą bydło do stanicy. Handlujący wiedzą dobrze dla czego przepędza się stado, chociaż właściciele starają się pozorować fakt ten jakąś konieczną potrzebą.

Niezadługo do naszego obozu zjawia się gospodarz, w towarzystwie wszystkich prawie mieszkańców stanicy.

Gości zaprasza się do środka i rozpoczyna się z nimi gawędę o najobojętniejszych przedmiotach, nie zaniedbując napomknąć, że popasłszy bydło, natychmiast pospieszymy dalej.

Ze swej strony właściciel stadniny mimochodem też niby oświadcza że obliczywszy się spostrzegł iż ma za mały zapas wisky i że kupiłby chętnie z jakie dwie lub trzy baryłki, na co znowu odpowiada mu się ubolewaniem, że potrzeby tej swojej wczoraj nam nie zakomunikował, przed samym bowiem odjazdem, nie podobna rozpakowywać furgonów dla paru baryłek wisky, upakowanych jak na nieszczęście na samym spodzie. Głosem donośnym wydaje się następnie polecenie posługaczom co do przygotowania zaprzęgów, a strażnikom prowadzącym transport rozkazuje się rozbierać pomiędzy siebie porozwieszane ubrania.

W obec energii takiej, mięknie strona przeciwna i na poważne oświadcza, że radaby wejść z nami w stosunki handlowe. Nie można zgodzić się na to odrazu, owszem jeszcze czas jakiś potrzeba odmawiać upornie, tłomacząc się to brakiem towarów, to brakiem czasu wtedy, kiedy stada kupców przybyłych, Bóg wie jak się znajdują daleko. Po tych korowodach, wzruszeni niby przedstawieniami i prośbami, nakazujemy wstrzymać przygotowania do odjazdu.

Pasterze co koń wyskoczy lecą teraz do stanic i podpędzają bydło swoje jak najbliżej do naszego obozu.

Przed zaczęciem targu robi się z właścicielem umowa co do przymiotów jakie woły posiadać winny aby były przyjęte na zamianę, wiele oraz funtów mięsa wliczając w to tłuszcz i skórę na żywem zwierzęciu, na jeden dollar przypada? Następnie oblicza się już podczas targu na pieniężną wszystko wartość.

Potrzeba mieć wielką wprawę aby potrafić się dopilnować przy dobywaniu towarów, bo na sumienie kupujących wcale liczyć nie można.

Uważając kradzież za rzecz najnaturalniejszą i wcale nie karygodną, kradną i kradną nadzwyczajnie zręcznie, nietylko oddzielne sztuki ale tłomoki całe. Na czas też targów stawia się zwykle straże z najprzytomniejszych ludzi.

Przepatrzywszy ubiory na tłomokach porozkładane, kupujący uznaje że są one mniejszej daleko wartości od porozwieszanych w obozie i oświadcza że woli drożej zapłacić byle nabyć stroje dla służby naszej przeznaczone. — Poprzeczawszy się i o to czas jakiś i nakładając dubeltową cenę, przychodzi się ma się rozumieć do zgody, tembardziej że wszystkie ubiory najzupełniej jednakiej są roboty.

Odłożywszy na bok garderobę wybraną przechodzimy do towarów innych.

Pokazując przedmiot jaki podaje się cena i od tej bezwarunkowo nie odstępuje się ani złamanego centa. Najmniejsze ustępstwo daje powód przeciągnięcia targów do nieskończoności, lub nawet wzbudzając podejrzenie, psuje zupełnie sprawę. Cierpliwość anielska i krew zimna—oto zalety obok stanowczości niezbędne przy operacyach podobnych.

Rodzina i służba nie dadzą odetchnąć gospodarzowi prosząc się o kupno to tej to owej rzeczy. Nie zadowoleni z rzeczy już wybranych proszą o przemianę, kłócą się, szturchają, a wrzeszczą tak, że kontrola sprzedanych towarów utrudniona jest niezwykle. Ciągle potrzeba przemazywać jedno, a zapisywać drugie, znowu przemazywać i znowu zapisywać, trudno też dojść potem nieraz do ładu i wiedzieć co właściwie wybrano.

Spostrzegłszy że właściciel bydła zaczyna kurczyć się trochę i nie tak go już wzruszają prośby rodziny i służby—proponuje się zatrzymanie odbioru towarów; obliczenie się i odebranie bydła na zamianę.

Wybór bydła nie przedstawia trudności wielkich, gdy wartość podług wagi z góry ułożoną została.

Sporów być nie może, bo ani sprzedający, ani kupujący nie mylą się pod względem wagi.

Zazwyczaj wybiera się bydła mniej daleko aniżeli pragną tego właściciele—bo owo kurczenie się, owo *niezdecydowanie* ich o którem wspominamy, pochodzi stąd iż straciwszy rachubę, obawiają się przecholowania.

Spostrzegłszy że tak źle nie jest, pan właściciel na nowo z najweselszą w świecie miną zabiera się do wybierania towarów i dotąd się tem zajmuje dopóki znowu nie pomyli sobie rachuby. Tym sposobem handel przeciąga się nieraz do późnego wieczora lub nawet do dnia drugiego.

Po wręczeniu towarów i otrzymaniu wołów na zamianę, wydaje się natychmiast nabywcom zakwitowane rachunki.

Kupujący proszą zwykle aby w rachunkach tych znacznie niższe wykazywać ceny od cen jakie nam w rzeczywistości ofiarowano.

Nie mogłem zrozumieć z początku ku czemu służyć ma manipulacya podobna, a tembardziej nie mogłem pojąć ku czemu na półdzikiej zgrai, służyć mogą dowody pisane.

Dowiedziałem się przecież następnie iż ma to dowcipną sui generis przyczynę; służy bowiem przedewszystkiem do tumanienia mniej doświadczonych przybywających na stepy kupców.....

Rachunkami podobnymi przechwalają się też dzicy sami pomiędzy sobą—dowodząc jak tanio potrafią potrzebne rzeczy nabywać—a gdyby im wierzyć nie chciano, oświadczają że pierwszemu lepszemu piśmienemu, rachunkiem prawdę swoich słów wykażą.

W czasie pierwszej podróży wśród pustyni odbywanej wspólnie przez całą kompanję naszę, ułożyliśmy formalne przepisy obowiązujące, pod względem wydawania rachunków wzmiankowanych. Stosownie do przepisów tych staraliśmy się układać rachunki owe w ten sposób, żeby zadawalniając jednych nie obudzać niechęci w innych kolorowych naszych kondmanach.

Jednemu więc kładliśmy niebywale nizką cenę na *wisky*, drugiemu na cukier, trzeciemu na liny i t. p.

Skoro spotkali się z sobą, mogli się sprytem swoim przechwalać do woli—doskonale czując w duchu, że owa nizka cena za którą ktoś tam nabył towar jakiś znacznie taniej, tak dodobrze jest nierzetelną jak i ta według której inny ktoś znowu, nabył przedmiot inny.

Po wydaniu rachunków, towar nie sprzedany wracał do furgonów, wybrane w zamian woły szły do naszego taboru, a właściciele stadnin rozpoczynali obdzielanie towarami rodziny i służby, czemu zwykle towarzyszyły nieznośne wrzaski i liczne szturchańce.

Niedługo kolorowi eleganci zachwycają się nowemi strojami swojemi. Po dwu trzech nocach spędzonych w namiocie lub na stepie wśród stada, z ubrań tych już tylko, zabrudzone nad wyraz wszelki zostają łachmany i gdy-

by po paru tygodniach odwiedzać stanice z towarami, możnaby sprzedać ich prawie tyle co poprzednio. Może nie dałoby się wyprzedać tylko wisky, mączki cukrowej ulubionego przysmaku negrów i mulatów a i nabojów także, bo przedmioty te zostają zwykle pod osobistą kontrolą gospodarza, i nowe zakupy robią się dopiero po zupełnem wyczerpaniu zapasów.

We wszystkich stanicach przed rozpoczęciem handlu, jedna się i ta sama powtarzała komedya.

Ta jednostajność nudziła mnie i nużyła, probowałem więc kilkakrotnie od razu na seryo przystępować do rzeczy, ale źlem wyszedł zawsze na tem.

Właściciel stadniny otwartość moję brał za chęć pozbycia się za jakąbdź cenę przywiezionych towarów, to też stawał się twardym, przepatrywał wszystkie tłomoki, wszystkiemu przyganiał, ofiarowywał najwyżej połowę żądanej ceny, woły swoje taksował bajecznie wysoko i kończyło się na tem, że straciwszy dużo czasu, nie zrobiłem nic i musiałem się wynosić do stanicy innej.

Rozzłoszczony tą dziką głupotą i podejrzliwością, podrażniony klęską poniesioną, niemogłem nie przyznać, że biali mają słuszność, i że musiałbym być bardzo naiwnym, gdybym na przyszłość chciał się po ludzku obchodzić z kolorowymi dzikusami.

W czasie stosunków handlowych z właścicielami stadnin, zatrzymując się nieraz czas znacznie dłuższy w blizkości ich stanic, miałem sposobność wyrobić sobie wcale jasne pojęcie o ich życiu, obyczajach i charakterze.

Handlarze wołów stanowią znaczną część ludności miejscowej, a ludność ta nie dziś to jutro gotowa oddać się pod zarząd białych przybyszów ze Wschodu.

Tłumy białych osiedlających się na zachodnim skraju pustyni nie mogły nie oddziałać na ludność kolorową stanów południowych. W czasie niewolnictwa mulaci, kwarteroni i ci wszyscy w ogóle którzy od praw ludzkich odsądzonymi byli, wybiwszy się cudem jakimś na wolność, zmykali jak najdalej na stepy, aby się raz na zawsze zabezpieczyć od ścigań i pomsty swoich dawnych panów. Ale nienawiść rasowa i wpośród stepów nie dawała im biednym spokoju. Biali pionierowie i awanturnicy różnego rodzaju i tu uczuwać im dawali swoję wyższość i tu traktowali ich z wysoka i tu ich prześladowali przy każdej sposobności. Taki stosunek zmuszał zawsze ludność o jakiej mowa trzymać się całkiem oddzielnie, osiedlać się jak najdalej i wchodzić w przyjacielskie związki z Indyanami. Na przyjaźń wprawdzie czerwono-skórych wiele liczyć nie było można i kolorowi zbyt często męczarniami i życiem za zaufanie swoje płacili, zawsze jednak dla więcej energicznych mulatów i kwarteronów stosunki te znośniejszemi jeszcze były od stosunków z białymi, pod względem surowości nie wiele ustępującymi Indyanom.

Ci z kolorowych przybyszów, którym się udało uniknąć niebezpieczeństw tysiącznych, zabrali się do hodowli bydła, i w miarę powiększania stad, ściągali do siebie na służbę awanturników włóczących się po stepach. Biali rycerze pustyni nie chcieli wysługiwać się kolorowym. Ale oprócz białych, znajduje się na stepach znaczna liczba metysów i tych meksykańczyków, którzy mają się za białych co prawda, nie mogą się jednak pochwalić iżby w żyłach ich czysta hiszpańska krew płynęła. Zbyt często krew ta mięszała się z krwią negrów i Indyan.

Hodowla stad jest rzeczą nadzwyczaj korzystną na stepach, to też bardzo wielu kolorowych, posiada obecnie ogromne massy bydła. Nowi przybysze wchodzą najpierw na służbę do osiedleńców dawnych, i z czasem sami na niezależnych właścicieli wychodzą.

Tym sposobem wśród stepów wytworzyła się znaczna liczba ludności kolorowej, najrozmaitszych odcieni, poczynając od prawie białego kwaterona i smagłego meksykańczyka, do czarnego jak węgiel senegalskiego negra albo metysa o cerze miedzianej. Ta część ludności nawyknieniami, obyczajami i charakterem wybitnie się wyróżnia od białych czystej krwi przesiedleńców pustyni i w wielu razach stanowi wybitną z nimi różnicę, przejąwszy bowiem wiele od Indyan, nie przyswoiła sobie krwiożerczości, wstrzemięźliwości a przedewszystkiem owego dzikiego męztwa właściwego Indyanom.

Ludność biała wkraczając w pustynię, postępuje zwykle gromadą. Pionierowie idą w dużych dobrze uorganizowanych oddziałach, skwaterowie podobnież.

Nawet strażnicy bydła pojedyńczo przybyli na stepy, wykazują silną dążność do łączenia się w oddziały, i zwykle po kilkunastu na raz zgłaszają się do prowadzenia transportu lub przyjęcia służby. Przesiedlając się na stepy, biali przynoszą tu z sobą zwyczaje swoje i zwyczaje, przynoszą nawyknienie do życia towarzyskiego, to też działając łącznie, łatwo łamią zawady z jakiemi początkowo spotykać się muszą, łatwo zmuszają ludność miejscowości którą obejmują, do poddania się pewnym prawidłom. Zupełnie inaczej postępują kolorowi! Działają oni pojedyńczo, każdy na swoją rękę. Właściciele stad oddzielnych, nie mają żadnych ze sobą stosunków i nie mają pojęcia o tem iżby interesa ich mogły jakiejkolwiek wymagać wspólności.

Stosunek pana do służącego wcale nie jest uregulowany, i żaden z nich nie wie jakie względem drugiego ciążą na nim obowiązki. Często też właściciel jest tylko panem nominalnym, w rzeczywistości zaś stadami jego rządzą samodzielnie strażnicy, gdy zręcznie władzę pochwycić umieli.

W ogóle pojęcie własności bardzo jest słabo rozwinięte pomiędzy hodownikami stad i gospodarz posługuje się temi samemi co służba jego prawami.

Przy sprzedaży bydła, służba wtrąca się do targu i uporczywie domaga się nabycia rzeczy które się jej podobały.

Rachunków ze służbą nie prowadzi się żadnych, a gotówka jaka wpływa za bydło sprzedane, dzieli się pomiędzy wszystkich, przyczem gospodarz nie zawsze część największą otrzymuje. W razie sporu strażników z gospodarzem, pierwsi zabierają mu kilkanaście lub kilkadziesiąt sztuk ze stada, urządzają oddzielną stanicę i na swoją rękę handel prowadzą.

Z Indyanami kolorowi hodownicy nie spierają się, nie wchodzą zresztą z nimi w blizkie bardzo stosunki, a z białymi nie zbyt też sympatyzują, instynktownie wyższość ich odczuwając. Obcy wszelakim interesom wznioślejszym, spędzają życie całe wśród stepu, przechodząc ze swemi stadami z miejsca na miejsce, i nurzając się w przerozmaitych występkach, odziedziczonych po białych, czarnych lub czerwonoskórych rodzicach. Obojętność i próżniactwo posuwają do maximum. Znudzeni bezczynnością zbyt długą, szukają rozrywki w grach hazardownych, z czego często do kłótni i bójek krwawych przychodzi.

Nawykli żyć pod gołem niebem, w czasie tylko słoty skrywają się pod namioty, nie dbając całkiem jak to już wpierw wspomniałem, o jaką taką czystość w mieszkaniu. Nie wiele też troszczą się o swoję powierzchowność—ich ubranie to najzwyklej brudne, trzęsące się łachmany. Pomimo to jednakże, kochają się namiętnie w strojach nowych, szczególniej w okryciach jaskrawych, i gdy spotkają się z niemi, gotowi je nabywać nie pytając o cenę. To zamiłowanie do kolorów jaskrawych wyzyskują handlarze przybywający po zakup bydła stepowego. W czasie podróży po lesistej stronie pustyni, bardzo rzadko spotykaliśmy się z białymi. Kiedy niekiedy tylko przyczepił się do nas przemokły awanturnik, jaki milcząc zjadł kolacyę, przenocował z nami i nazajutrz maszerował sobie dalej. W miarę zbliżenia się ku granicy, pojedyńczy włóczędzy podobnego rodzaju, stawali się coraz częstszymi.

O jakie piętnaście lub dwadzieścia mil po prawej stronie drogi, którąśmy postępowali; widniały ciemne massy blockhauzów, z ponętnymi słupami dymu po nad ziemnym dachem. Pomimo że nam na dobrych chęciach nie zbywało, nie mogliśmy sobie pozwolić wstąpić do którego blockhauzu, bo i tak za długo już zabawiliśmy na stepie i obawialiśmy się aby nie uchybić terminu dostawienia bydła.

Żeby tego uniknąć, nasz wagenmajster umyślnie obrał drogę od blockhauzów oddaloną, wiedząc, że niepodobnaby nam było przechodząc obok mieszkań ludzi białych, nie zatrzymać się i nie skorzystać z gościnności pionerów, zawsze całą duszą przyjmujących gości, szczególniej takich którzy przez czas dość długi musieli przenosić, różne niewygody stepowej podróży.

Im bardziej zbliżaliśmy się ku granicy, tym postępowaliśmy raźniej. Ludzie z niecierpliwością wzdychali do wypoczynku, zwierzęta jakby odczuwając koniec nużącego marszu, przypuszczały kroku. Nakoniec pokazała nam się zdala strażnica wieżyczka fortu pogranicznego, a następnie zobaczyliśmy i fort, rodzaj niewielkiego blockhauzu z wysokiem wzniesieniem, na którem stawali wartownicy.

W fortach tego rodzaju pomieszcza się stosownie do potrzeby od 10 do 150 żołnierzy, pod dowództwem oficera lub wachmistrza. Załoga garnizonu obowiązaną jest mieć na oku Indyan, nie pozwolić uzbrojonym bandom przechodzić granicy i stawiać czoło czerwono-

skórym jeżeli pomimo tych środków ostrożności, uda im się napaść na mieszkania białych.

Gdyśmy się zbliżali, dwu jeźdźców wypadło z fortu i podbiegło ku nam. Była to pikieta. Zapytawszy kto my i dokąd pędzimy stado, zaciągnęli odpowiedzi nasze do kontrolki i wypytawszy co tam teraz o zamiarach Indyan utrzymują właściciele stad stepowych, powrócili do fortu, a my pośpieszaliśmy aby się dostać do najbliższej wenty.

Byliśmy już w granicach stanów i od gościnnego progu dobrze znanej moim współziomkom wenty, dzieliło nas kilka mil zaledwie.

Mieliśmy z wagenmajstrem kłopot nielada, powstrzymując niecierpliwość ludzi, pragnących jednej chwili dobić się do wenty i nieustannie napędzających stado do prędszego chodu. Nareszcie nad brzegiem ładniutko wijącego się strumyka, spostrzegliśmy długie drewniane zabudowanie, pokryte deskami. Oprócz zadowolenia jakie poczuliśmy wszyscy widząc blizki koniec uciążliwej podróży, powierzchowność wenty dziwne na mnie zrobiła wrażenie. Prawie niczem się nie różniąc od budowli spotykanych na granicach, nie wiem dla czego widok jej przypomniał mi dobrze znany dworek w dalekiej krainie mojej. Nie wiem jakby to wyrazić, ale było coś w tem rodzimego, pociągającego. Pod samą wentą rozłożyliśmy się obozem, ustawili stado i dalej w gościnnie otwarte progi. Miałem pod sobą złośliwego bardzo konia, który chwytał zębami gdy mu się tylko nadarzyła ku temu sposobność. Pragnąc jak najprędzej dostać się do wenty, zapomniałem o tej złej, szkapy mojej skłonności i schwyciła mnie za rękę. Energiczne przekleństwo jakieś wyrwało mi się z tego powodu.

— Boże! toż to Rosyanin, odezwał się w tej chwili głos jakiś w salonie, i gdym się obejrzał, zobaczyłem we drzwiach młodą lady w świątecznym jedwabnym stroju.

(d. c. n.)

ROZMAITOŚCI.

Społeczne.

— Przed kilku dniami jedna z gazet medyolańskich ogłosiła następujące zdarzenie: „Pewien młody człowiek dobrze uposażony podał się w pismach publicznych jako kandydat na męża, wymienił swój dochód roczny 10,000 liwrów“ i upraszał, aby życzące wejść z nim w związek małżeński raczyły nadesłać swoje fotografje pod adresem N. N. Wkrótce ogłaszający się otrzymał nie mniej jak sześćdziesiąt pięć anonsów z tylomaż fotografjami. Młody ów człowiek rozpisał następnie jednobrzmiące listy do wszystkich kandydatek, iż zdecydował się wybrać tę do której pisze za żonę, wszakże pragnąłby poznać ją osobiście. Dla tego prosi ją aby w przyszły wtorek raczyła być w teatrze „la Scala“ i zająć miejsce na parterze, a on, kandydat na męża znajdować się będzie w pobliżu. I stało się, że we wtórek wieczorem, wszystkie prawie miejsca na parterze teatru la Scala zajęte były przez dobór panien elegancko i wykwintnie ubranych. Jedno z miejsc obrał sobie fałszywy —kandydat, i obracając się niekiedy do siedzących za nim amatorek małżeństwa, z uśmiechem rekognoskował ich szeregi. Nie trwało to wszakże długo. Między publicznością rozeszła się wieść o całej tej sprawie, która spowodowała sprowadzenie tylu panien do... jednego mianownika. Stąd powstała niezmierna w teatrze wesołość. Biedne ofiary tak przykrego żartu, zawstydzone co prędziej wyszły teatru.

— W Ameryce jest obecnie sporo miast z polskimi nazwiskami jak Warszawa, Kraków, Radom i t. p. a teraz założono tam Poznań w państwie Michigan w powiecie Presque-Isle — Poznań jest przeważnie przez Polaków zamieszkały — a na pocztmajstra w tem mieście przeznaczoną została przez Prezydenta Stanów Zjednoczonych Polka *p. Klara Jeżeńska.*

— Dom zastawowy we Lwowie przychodzi do skutku. Statuta jego już zaprotokółówane. Koncessyę jednak otrzyma ten zakład dopiero wtedy, a jest to warunkiem postanowionym przez namiestnictwo, kiedy zbierze się dostateczna ilość członków, co też powinno nastąpić jak najrychlej. Wspomniany dom zastawowy różni się tem od oddziału zastawniczego przy lwowskiej kassie zaliczkowej, że jest instytucyą samodzielną.

— Przed niedawnym czasem, właścicielka jednego z pomniejszych hotelów paryzkich położonych w okolicy Halles-centrales, zgłosiła się do miejscowego komisarza policyjnego, prosząc go go o upoważnienie do otwarcia rozmaitych pakunków, pozostawionych jako zabezpieczenie długów przez rozmaitych lokatorów, którzy opuścili hotel więcej niż rok temu. W jednej z takich skrzyń znaleziono owinięte w bieliznę zwłoki dziecięcia mogącego mieć miesiąc życia. Wezwany lekarz po obejrzeniu ciała objawił że dziecko było zdolnem do życia, ale że stan trupa zamienionego w rzeczywistą mumie nie pozwala na oznaczenie epoki i przyczyny śmierci. Pomimo braku bliższych poszlak. udało się wykryć właścicielkę owej skrzyni. Badana zeznała że dziecko było jej własnem i żyło miesiąc, Gdy zmarło nie mogła się z nim rozstać i w taki sposób przechowywała je przez dwadzieścia dwa lata. Przedawnienie osłania zbrodnię jeśli ta miała miejsce, mimo to przedsięwzięto badanie, do którego pierwsze wskazówki dostarczy bliższe obejrzenie trupa, który za pomocą chemicznich środków ma być przywrócony do pierwotnego stanu.

— W Krakowie odbywają się od dnia 31-go maja w sali muzeum techniczno-przemysłowego, posiedzenia ogólnego zgromadzenia towarzystwa gospogarstwa rolniczego.

— *Straż ogniowa Warszawska* zaopatrzoną zostanie wkrótce w nowe zupełnie narzędzia. Najdalej za trzy miesiące, każdy oddział straży otrzyma po trzy sikawki kalifornijskie z fabryki moskiewskiej braci Butenop, po sześć beczek nowej budowy, oraz omnibus dla strażaków, wóz do drabin i bosaków. Wszystkie te narzędzia zbudowane będą na resorach, a przygotowaniem ich w tej chwili zajmuje się warszawska fabryka machin.

Literackie.

„Gazeta Polska“ ogłosiła że od 1-go lippca r. b. wychodzić będzie w powiększonym formacie i rozpocznie w odcinku powieść J. I. Kraszewskiego p t. *„Zygzaki“*

— Nakładem Biblijoteki Kórnickiej wyjść ma wkrótce *„Wykład nauki o równaniach różniczkowych“* przygotowany przez P. Władysława Zajączkowskiego b. profesora uniwersytetu Warszawskiego a obecnie prof. akademii technicznej w Krakowie.

— W tych czasach wyszła z druku książka p. t: *„Chemja życia codziennego“*, podług najnowszych źródeł opracowana przez F. Skomorowskiego, objaśniona 54-rema rycinami w tekście.

— W Warszawie ma zacząć niezadługo wychodzić *„Encyklopedya pedagogiczna.“*

— W tych dniach wyszła z drukarni Czerwińskiego książka p. n. *„Postęp i rady czasu“* przez Romana Bierzyńskiego, autora dzieła *„O kobiecie pod względem somatologicznym“*.

Szkoły.

— b. Komisarz leśny Wydziału Dóbr i lasów Rządowych w b. Komisyi Rządowej Przychodów i Skarbu a następnie Referent w Ministeryum Skarbu w Petersburgu, pan *Józef Krasuski*, przeznaczonym obecnie został na prof. do instytutu Rolniczo-Leśnego w Puławach (w Nowej Aleksandryi).

— Jeden z obywateli gub. Lubelskiej, chcąc dać możność studentom instytutu gospodarstwa wiejskiego i leśnictwa w Puławach (Nowej Aleksandryi) obznajmienia się z hodowlą owiec, ofiarował na rzecz Instytutu partyę pięknych owiec rasy *Negretti.*

— Wszystkich uniwersytetów w Europie jest 112, mianowicie w Niemczech 21, we Francyi i Włoszech po 19, w Anglii i Hiszpanii po 10, w Rossyi 8, w Austryi 7, w Belgii 4, w Szwajcaryi, Holandyi, Szwecyi i Norwegii po 3, w Grecyi 2, w Portugalii, Danii i państwie Tureckiem po jednym. Co zaś do liczby studentów, pierwsze miejsce zajmują Niemieckie uniwersytety a między niemi Wiedeń; w przeszłym roku szkolnym było w uniwersytecie Wiedeńskiem 3,228 studentów. Następnie idzie Lipsk w którym było 2,947, dalej Praga 1,844, Berlin 1,821, Monachium 1,145.

— „Nowoje Wremia“ donosi że uniwersytet Sybirski ma być otworzonym w Omsku.

Stowarzyszenia.

— W d. 11 Kwietnia r. b. sporządzonym został akt przed Rejentem Kulikowskim, którym Paweł Czyszkowski i Ludwik Walusiński, zakładają w Warszawie *fabrykę zapałek*, pod firmą „Paweł Czyszkowski i spółka“.

Дозволено Цензурою. Варшава 22 Мая (9 Iюня) 1876 г. W drukarni Józefa Kaufmana. — Warszawa, Nr. 638 (9 nowy).

Wydawca Korzeniowski. Redaktor Henryk Perzyński.

Od Drukarni.

Z powodu dopuszczonego na prasie drukarskiej przypadkowego przestawienia kolumn pisma, prosimy uprzejmie zwracać przy czytaniu uwagę na górną liczbę stronic dzisiejszego Numeru „Opiekuna Domowego“ i po stronicy tytułowej, czytać stronę 354 i t. d.